

W NUMERZE: Jak Antoni Abraham walczył o przyłączenie Pomorza do Polski ■ Wojna w filmie I literaturze ■ Wspomnienie o Aleksandrze Kamińskim – autorze „Kamieni na szaniec” ■ Teatry otwarte gościły we Wrocławiu i co z tego wynikło? ■ Film w Chinach ■ Ryzykowna hipoteza o „zielonych Judzikach” ■ Dalszy ciąg „Historii pewnej miłości” ■ Recenzje ■ Felietony

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź



NR 45 (1091) ROK XXI

5 LISTOPADA 1978 R.

CENA 3 ZŁ

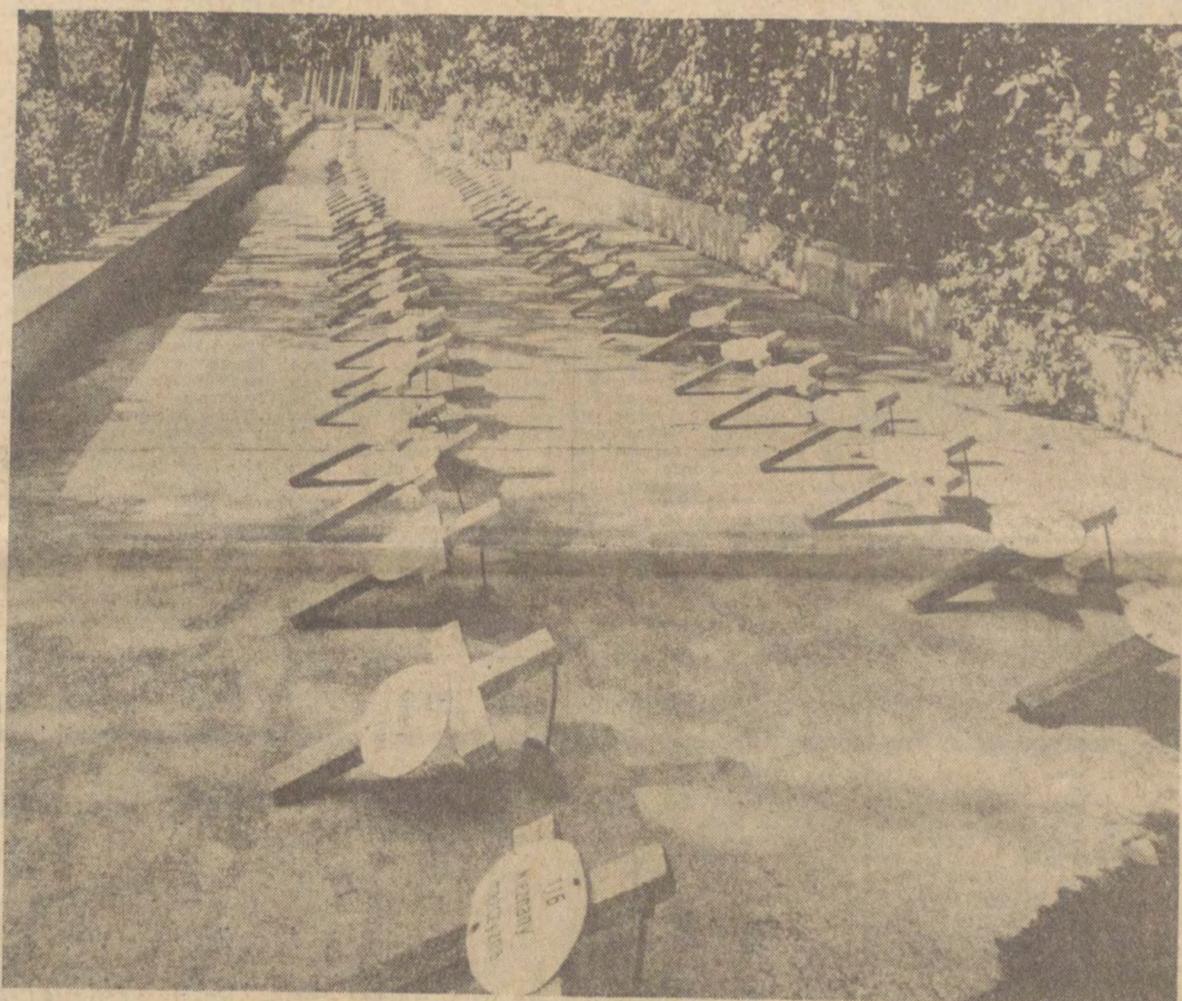


Foto: Archiwum

STANISŁAW
CZERNIK

EPITAFIUM

Prysłano z kraju epitafium krótkie:
– Padł pod Łowiczem.

Choćby najbardziej liczyć się ze smutkiem
Ten tylko wynik obliczeń:
– Padł.

Nikt nie wyliczy już inaczej.
Wyliczył grabarz spod Łowicza
Drewnianym krzyżem grób naznaczył.

Krzyż padnie jutro lub pojutrze,
Jakby potwierdzał
To, co w tej śmierci jest najkrótsze:
– Padł.

(fragment)

BOGDA MADEJ

CIĘŻKIE ŻYCIE MAŁEGO WYTWÓRCY

Wśród wielu marzeń i kłopotów współczesnego Polaka meble znajdują się na miejscu centralnym. Wynika to z dwu powodów. Najpierw z tego, że buduje się u nas wiele. A następnie, że przemysł meblowy i inne z nim kooperujące nie posiadają takich możliwości produkcyjnych, które gwarantowałyby należyte zaspokojenie popytu na meble.

Najpierw sprawa pierwsza, która w moich rozważaniach może się wydawać uboczna, a która jest przecież zasadniczą dla tego wszystkiego, co związane jest ze sposobem rozwiązywania u nas kwestii mieszkaniowej. Budujemy dużo. Tylko w województwie łódzkim w 1976 roku oddano do użytku 11 093 mieszkania, a w rok później – 11 502. Do tego trzeba dodać 1 087 mieszkań wybudowanych prywatnie w 1976 roku i 1 189 – w 1977 roku. Wraz z otrzymaniem nowego mieszkania wzrastają wymagania i stare meble przestają być potrzebne. Związane jest to również z innymi wymiarami

nowego budownictwa i innymi staro. To, co pasowało do starego okazuje się nieprzydatne w nowym. przestało także odpowiadać nowym aspiracjom lokatorów nowego budownictwa. Nic więc dziwnego, że rośnie nieustannie popyt na nowe meble i mimo wielkich wysiłków przemysłu drzewnego, aby rozwijać swoje moce produkcyjne, nie jest on w stanie nadążyć za potrzebami.

Krajowe Targi „Jesień 78” wykazały, że plan roczny w 1978 roku nie będzie wykonany. Zabraknie – jak się szacuje – około 7 procent, czyli zabraknie mebli, których wartość powinna wynieść około 1,5 miliarda zło-

tych. Czego zabraknie? Zabraknie szaf, kredensów, mebli kuchennych. Dlaczego zabraknie? Przede wszystkim z powodu niedostatecznych dostaw surowców i różnorodnych elementów. Niedostatecznych i nierytmicznych. Brakuje więc między innymi lakierów, folii z pcv, papieru, płyt wiórowych i laminowanych. Okuć do mebli i innych akcesoriów starczy za ledwie na pokrycie bieżącej produkcji, a że jest ona mniejsza od planowanej... Również jakość tkanin na obicia mebli nie jest najlepsza, choć samych tkanin nie brakuje.

Specjaliści rozróżniają „rynek producenta” i „rynek konsumenta”. Ten ostatni występuje wtedy, kiedy klient zaczyna dyktować producentowi swoje wymagania i narzucać swoje gusta. Ten pierwszy – kiedy klient musi brać wszystko, co spotka w sklepie. W sklepach meblowych klient nie ma wielkiego wyboru, gdyż najczęściej mu się śpieszy, bo już trzeba meblować puste mieszkanie. Ale też coraz śmielej zaczyna „pod-

grymaszać”, rozglądając się za rzemieślnikiem lub spółdzielnią, która zrobiłaby mu meble na jego życzenie, gust, wymagania i możliwości. I taką rolę spełniał kiedyś przemysł terenowy i spółdzielczość. Próbuje zresztą spełniać ją spółdzielczość i dziś, bo jak wiadomo przemysł terenowy został niepotrzebnie zlikwidowany i teraz podejmuje się wysiłki, aby go restaurować.

Drobni producenci sprezentowali swoje propozycje na Targach Krajowych „Jesień 78”. Ofertę tę oceniono jako ciekawą, ale ilościowo była ona skromniejsza od ofert z lat poprzednich. Jest to też widomy skutek likwidacji przemysłu terenowego, gdyż niektórzy drobni producenci mebli zajmują się teraz zupełnie czymś innym i nie myślą ani o usługach, ani o produkcji na rynek. Pozostali jednak nieliczni, którym przypisano oba te zadania. W Łodzi takim drobnym wytwórcą mebli jest „PUMESTOL”.

Ongiś „PUMESTOL” należał do

przemysłu terenowego i nosił nazwę Łódzkiego Przedsiębiorstwa Usług Meblarsko-Stolarskich. Obecnie należy do spółdzielczości pracy. Jest oddziałem Łódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy Połowe swojej produkcji „PUMESTOL” przeznaczają na rynek, połowę stanowią usługi. W 1978 roku wedle planu ma wykonać produkcję wartości 80 milionów złotych, z tego 39 milionów złotych miała stanowić wartość usług. Jeśli w tej drugiej części planu nie zanotowano większych zakłóceń, to już teraz wiadomo, że produkcja na rynek nie będzie wykonana. I mimo, że do końca roku pozostało jeszcze trochę czasu, kierownictwo „PUMESTOL-u” nie widzi możliwości nadrobienia braków.

Nie widzę powodu do tego, aby kogokolwiek przekonywać o potrzebie istnienia obok wielkich przedsiębiorstw przedsiębiorstw małych, któ-

Dalszy ciąg na str. 6

ZMARŁ HENRI POULAIN

22 października zmarł w Łodzi Henri Poulain — scenograf, malarz i grafik, którego artystyczne losy i koleje życia związały tak silnie z Polską.

Urodził się we Francji w 1921 r. w Epierre i tam też w Paryżu ukończył szkołę wzornictwa przemysłowego — Arts Appliqués à l'Industrie. Wojenne losy rzuciły tego Francuza do Polski, gdzie szybko znalazł drogę do organizacji podziemnego, skoro już w 1943 r. Teatr Tajny w Kalliu ma młodego i budzącego nadzieje utalentowanego scenografa, który składa konspiracyjną przysięgę.

Potem przyszło wyzwolenie i Henri Poulain zamiast na Zachód do swojej — jak pisał G. Apollinaire — „słodkiej Francji”, przyjeżdża do Łodzi, która odtąd miała się stać jego miastem rodzinnym. Zaczyna intensywną działalność jako scenograf, projektując oprawy plastyczne dla wielu sztuk granych na łódzkich scenach, zyskując od razu zainteresowanie krytyków swym niepospolitym talentem.

Po latach, gdzieś w roku 1956—1957 okazuje się, że Poulain swój talent poświęca nie tylko pracy dla teatru. Wystawia malarstwo, które natychmiast budzi wielkie zainteresowanie publiczności. Używając na ogół ciemnej palety — granat, czerni, zgaszonych zieleni, brązów — Poulain wypracowuje przejmującą wizję form abstrakcyjnych, ale ekspresyjnie ukształtowanych, łączących się z elementami figuralnymi, realistycznymi. Nie był to nadrealizm, ale bardzo osobista próba tworzenia wizji poetyckiej środkami plastycznymi.

Po dwóch, czy trzech wystawach, po kilku próbach przenoszenia tej wizji na malarstwo ściennie we wnętrzu, Poulain znów zwraca się całkowicie ku scenografii. Od 1958 r. wiąże się na stałe ze scenami Teatru

Nowego, przygotowując w następnych latach blisko 40 opraw plastycznych dla tej placówki. Nawiązuje też bliższą współpracę z Ośrodkiem Telewizji w Łodzi, projektując scenografię dla bardzo wielu spektakli teatralnych i widowisk. Nierzadko też Henri Poulain pracował dla teatrów Gdańska, Jeleniej Góry, Krakowa, Olsztyna, Poznania, Torunia i Warszawy, pozostawiając i na tamtych scenach wiele pomysłów, choć zawsze jakby trochę smutnych w wyrazie opraw plastycznych.

Był wybitnym scenografem. Bywały miesiące, że nie mógł podjąć zamówień, które płynęły z różnych polskich teatrów, że musiał odmawiać im swego talentu, swjej pracy. Ostatnio, w okresie nadciągającej jego siły choroby, wrócił ponownie do malarstwa, którego zresztą tak na dobrą sprawę, nigdy nie zarzucił. Przygotowywał dla łódzkiej galerii „Desy” wystawę, na której poroczne miejsce miała zająć seria obrazów poświęconych pamięci ofiar getta warszawskiego. Zmarł w trakcie pracy nad tym cyklem, nie doczekawszy już powrotu do galerii wystawowych, na co wielbiciele jego talentu tak niecierpliwie czekali.

Śmierć Henri Poulaina uświadomiła nam, że odeszła nie tylko wybitny artysta, o którym może zbyt mało pisało. Uświadomiła ona po raz kolejny z rzędu, jak wiele dla umiędziania się polsko-francuskich stosunków czynią od lat już nie artyści, których losy zagnany w obecny czas obszar innej kultury. Ktoś powiedział, że jeśli rzeczywistość Chłonia otrzymamy od Francji, to spłaciłmy ten dług dalej w zamian wspomnianego już Guillaume Apollinara — Wilhelma Kostrowickiego największego poecie francuskiego XX w. Cieszyć zresztą nas artyści wyjeżdżali do Francji — francuska w końcu sztuka wzbogaciła i Eugenia Zak i Tadeusz Makowski i wielu, wielu jeszcze Polaków. Ten listę przyjrzyjmy i głęboko śledzącymi wzajemnymi stosunkami wzbogacił ten pracujący przez 35 lat dla polskiej kultury Francuz Henri Poulain.

G. R.

POLEMIKI

WYSŁUCHACZ Z UWAGĄ

„Głos Robotniczy” piórem Gustawa Romanowskiego zaprasza do dyskusji na jakże ważny temat: obecności partii wśród twórców. Cóż tam obecności! Więcej nawet: chodzi o konkretne działania, inspirację czy wzrost role egzekutywy partyjnej w środowiskach twórczych.

„Głos Robotniczy” piórem swego publicysty grzmi na staro, partyjnego pisarza, którego legitymacją są głosne, z marksistowskich pozycji napisane książki: „Jest to dość typowy przykład wąskiego traktowania pracy organizacji partyjnej w zakładzie pracy, instytucji, środowisku... Chodzi o to, że wspomniany literat starszego pokolenia pozwolił sobie powątpiewać w możliwość inspirowania „na silę młodych pisarzy, aby podejmowali partyjną problematykę w swej twórczości, ani też narzucać innych tematów, odnoszących się chociażby do historii polskiego ruchu robotniczego”.

Zaufałbym doświadczeniu staro, partyjnego literata: mój racje. Przede wszystkim przecież nie bardzo wiadomo, co to znaczy partyjna problematyka w twórczości. Czy chodzi o temat? Czy o sposób jego realizacji? Czy partyjna będzie powieść traktująca o sekretarzu partii? Czy powieść o miłości może być partyjną powieścią?

Kiedy stary literat wzywa do wstrzeźliwości w inspirowaniu „na silę” przypominając okres schematyzmu, to trzeba mu zawierzyć, albo przynajmniej go wysłuchać, bo sprawy naprawdę nie są tak proste. Kto ma inspirować?

Przypomina się od razu wiersz Brechta:

„Ale kim jest Partia?
Czy zasiada w domu
z telefonami?
Czy myśli jej są tajne,
a decyzje nieznanne?
Kim jest Partia?”

My jesteśmy Partia.
Ty i ja, i my — wszyscy.
Mieści się ona w twym
ubraniu, towarzyszu,
I myśli w twej głowie.
Tam jest jej dom, gdzie ja
mieszkałam, tam walczy,
Gdzie atakują ciebie?”

Inspiracja partyjna to wykonywana codziennie rzeczywistość. To rozbudowa naszego przemysłu, to przekształcanie naszego rolnictwa. To wreszcie tworzenie człowieka wychowanego w szacunku do pracy, trudu, dzielącego ten trud z innymi. Człowieka pełnego, otwartego na wartości światowej kultury. Pisarz nie jest poza tą rzeczywistością, jest jej integralną częścią i uczestniczy w tworzeniu wartości kultury. To jest jego podstawowe zadanie. I

jest to o wiele ważniejsze niż wygłoszenie choćby dziesięciu odczytów o Witoldzie Wandurskim czy też przypomnienie w artykule publicystycznym tradycji łódzkiej lewicy. Nikt nie kwestionuje potrzeby przypominania tej tradycji, ale powinniśmy to robić głównie ci, którzy są fachowcami w danej dziedzinie: historycy literatury, historycy sztuki. Nikt nie kwestionuje potrzeby podejmowania doraźnie określonych tematów, czy relacjonowania wydarzeń, ale trzeba pamiętać, że są to głównie obowiązki publicystyki i dziennikarstwa.

Zbyt rzadko pamięta się, że nasza partia jest partią rządzącą, że ma w swoich szeregach ogromną liczbę wykształconych ludzi, wybitnych specjalistów w wielu dziedzinach. I dlatego w wezwaniach uproszczonej publicystyki słyszymy się ton jako żywo przypominający czasy, gdy partia działała w podziemiu, nielegalnie, jak w tym słynnym wierszu Wandurskiego „Agitator”.

„W cągowiej marynarce,
tuląc w palcach koinierz,
Biegnie truchtem po jezdnii
armii pracy żołnierz.
Pięta: wiec metalowców.
Szóstka — u włóknarzy,
Więc truchcikiem, truchcikiem,
Więc truchcikiem, truchcikiem,
I znów dalej, O siódmej wiec
u kolejarzy.
Biegnie truchtem. Na gładno
o dniu wielkim marzy.
Po dziesiątej — do domu.

Zadymka. Zawleja.
Miasto — knieja odludna.
Śnieg za koinierz wieje”.

Taki ton zadomowił się tak bardzo w naszej prasie, że możemy przeczytać u Romanowskiego:

„Są przecież łódzcy pisarze, którzy sprawy te znają (chodzi głównie o tradycję literackie — przypisek mój), którzy je badali, opisywali. To ich trzeba by wykorzystać, aby na spotkaniach autorskich czytelnicy nie tylko własne książki, ale i dzieła się z młodym pokoleniem swoją wiedzą o chlubnej łódzkiej tradycji. Tego jest jakby za mało, tak jak za mało jest sporów na temat kształtu ideowego takiej czy innej książki, za mało dyskusji o postawach ideowych ich bohaterów. I tu jest właśnie pole do popisu dla egzekutywy i organizacji partyjnej przy związku twórczym, a forum dla takiego działania nie musi być przecież tylko zebranie partyjne, ale spotkanie autorskie, odczyt, dyskusja przed większym audytorium czy inicjatywa wydawnicza.

Romanowskiemu marzy się wizja „inteligenciacka” biegającego z zebrania na zebranie, aby upowszechnić tam sprawy łódzkiej tradycji. A mnie się takie „sektarskie” widzenie zadań egzekutywy partyjnej w środowisku twórczym wydaje co najmniej uproszczeniem. Dlaczego to egzekutywa POP przy ZLP ma wyrecać choćby szkolnictwo, które ma w swym programie specjalne godziny poświęcone tym sprawom? Dlaczego to model agitatora ma być wzorunkiem pisarza doby rozwinętego socjalizmu? Dlatego rozterek starego partyjnego pisarza trzeba wysłuchać z uwagą.

KONRAD FREIDLICH

LEKSYKON ŁÓDZKI

W CIENIU REYMONTA

Mówiono o nim, że był najpłodniejszym z literatów i dziennikarzy swoich czasów. Rozeźlony Aleksander Świętochowski nazwał go z sarkazmem Figurą polskiej prasy argumentując, że „gdzie się obejrzysz, tam go spotkasz”. Bo też został po nim ogromny dorobek twórczy, niestety, tylko ilościowo: samych powieści napisał coś z siedemnaście. A prócz tego tworzył nowele idące w dziesiątki (ich wybór przypominał w roku 1952 Zbigniew Mitzner), dramaty i wiersze. Jeden z takich dramatów Wincentego Kosiakiewicza trafił w roku 1885 do rąk pana Sellina, który wystawił go w swoim Teatrze Letnim w Łodzi. Rękopis „Biboszewskiego”, scenicznego żartu w jednej odsłonie nie zachował się, znamy jego treść tylko z recenzji ogłoszonej w „Dzienniku Łódzkim”. Stąd wiadomo, że była to farsa z życia aktorów, którego z autopsji Kosiakiewicz, raczej nie znał, choć z czasem zyskał sobie przydomek „polskiego Zolli”.

Wincenty Kosiakiewicz urodził się w roku 1863 w Warszawie w rodzinie policjanta. Ponieważ dochody rewirowego nie były wysokie musiał przerwać naukę w gimnazjum i ojciec posłał go do technicznej szkoły kolejowej. Stamtąd trafił do Miechowa i dziesięć lat pracował przy budowie linii kolejowej Dąbrowa Górnicza. Z placu budowy też (podobno był doradcą tunelu) zaczął nadzorować swoje pierwsze próby nowelistyczne do „Gazety Polskiej”, w której odniósł sukces i dzięki temu mógł wrócić do Warszawy i trafił do jej literackich salonów. Tyle danych biograficznych udało się zebrać Marji Puchalskiej, jedynej żony Kosiakiewicza, który pisząc swą „Ziemię obiecana” po prostu przewyższył go talentem.

Czas zresztą obszedł się z nim wyjątkowo surowo. W sześćdziesiąt lat, jakie minęły od śmierci autora „Bawelny” (zmarł 16 listopada 1918 r. jako rektor pierwszej w Polsce szkoły dziennikarskiej) rzadko kto sięga do jego książek czy też jeszcze bogatszej spuścizny publicystycznej Wincentego Kosiakiewicza. A przecież na skromne miejsce w historii i tak autor pierwszej powieści o Łodzi na pewno sobie zasłużył.

ten surowy osąd jest poniekąd uzasadniony w jednym Stolarzewicz się myli: jeśli Kosiakiewicz zna Łódź z „artykułów gazeciarskich”, to chyba wiadomym, jak o tym świadczy jego bogaty dorobek dziennikarski. A to dowodził zarzeczem, że miasto kominów poznał i to całkiem nieźle. Kto zresztą wie, czy nie trafił tutaj już w roku 1885 z okazji premiery swojej sztuki? Nie byłoby to przecież takie dziwne. W każdym razie w roku 1894 na łamach „Gazety Polskiej” zaczyna się ukazywać, ówczesną modą pisaną z odcinka na odcinek, właśnie „Bawelna”, pierwsza w naszej literaturze powieść, której akcja toczy się w Łodzi. Gdyby nie mentorski ton tej książki, ogłoszonej w rok później w Petersburgu jako druk zwarty, można by nawet mówić o pewnym talencie dramatycznym w kreśleniu postaci. Krytyka późniejszego okresu zwracała uwagę na pewną zbieżność „Bawelny” z „Ziemią obiecana” Reymonta, jest nawet ten sam typ bohatera: ślachcize „wysadzony z siódła”, który szuka szczęścia na miejskim bruku angażując się w działalność przemysłową. Tyle, że bohater Kosiakiewicza jest człowiekiem wykształconym, wręcz inżynierem i znajduje poparcie niemieckiego fabrykanta Krotmana (zbieżność z nazwiskiem Grohmana jest tu chyba zamierzona i raz jeszcze dowodzi, że autor zna łódzkie realia). I to jeszcze, że Kosiakiewicz napisał i opublikował swoją „Bawelna” na kilka lat przed Reymontowską „Ziemią obiecana”.

Leżąc o miejscu w historii literatury nie zawsze przesadza pierwszeństwo w podjęciu jakiegoś tematu, toteż Wincenty Kosiakiewicz na zawsze pozostanie w cieniu Władysława Reymonta, który pisząc swą „Ziemię obiecana” po prostu przewyższył go talentem.

ZYGMUNT FLATOWICZ

LISTY DO REDAKCJI

ODKLEJONY EKSLIBRIS

Z uwagą przeczytałem artykuł Jerzego Wilmańskiego „Ekslibrisy, dzieje, ludzie” („Odgłosy” nr 40) i w związku z nim pozwalam sobie podzielić się kilkoma uwagami na temat współczesnego znaku książkowego. Zaczęło od stwierdzenia, że ostatnie kilkadziesiąt lat to okres gruntownej przemiany funkcji ekslibrisu. Ze znaku własnościowego książki przekształcił się on w małą formę grafiki, zawierającą jeszcze tradycyjną inskrypcję, ale często dyskretnie ukrytą lub zredukowaną już tylko do monogramu właściciela.

Początek wspomnianej przemiany sięga pierwszych lat XX wieku, kiedy to ekslibrisy zaczęły tworzyć wybitni artyści, a ludzie władzy na urzędach rycin podjęli trud wydawania tek ekslibrisów. Tradycyjny znak książkowy w tym momencie oderwał się od książki i zaczął swą samodzielną rolę — stał się obiektem zabiegów kolekcjonerskich.

Wprawdzie istnieją jeszcze właściciele księgozbiorów, niekoniecznie bibliofile, którzy ekslibrisy wkładają na wewnętrznej stronie okładki swych książek, ale coraz ich mniej. Przyczyna jest prosta — ekslibris uformowany ręką artysty przestaje być „znakiem bibliotecznym” a nabiera „istotnej wartości dzieła sztuki”, jak to z nieco staroświec-

kim wdziękiem określał Przemysław Smolik.

Kto widzi na przykład oryginalny miedzioryt, odbity w niewielkim nakładzie, podpisany przez artystę, w książkę wydaną byle jak, której wartość materialna jest kilkakrotnie niższa niż ekslibrisu mającego świadczyć o jej przynależności do konkretnego właściciela? Po co wreszcie skazywać finezyjną rycinę na wieczne zamknięcie w książce między okładką a stroną wyklejkę, kiedy biorąc ekslibris do ręki lub oglądając go w tece grafiki można cieszyć się jego delikatną urodą?

„Znakiem bibliotecznym” niech pozostanie akcydensowa nalepka, zawsze to lepsze niż obrzydliwa odbitka gumowej pieczętki, a ekslibris artystyczny, mała forma grafiki niech żyje swoim samodzielnym życiem obok książki, z której kiedyś się odkleił.

Wprawdzie biegli w etymologii burzą się na taką konstatację, wskazują, iż z samej nazwy wynika związanie ekslibrisu z książką (ex libris = z książki). Cóż jednak począć, gdy nazwa nie nadaje za zmienionymi funkcjami jej przesygnętu? Pogodziliśmy się przeto z faktem, że spóźniami i spódniami nazywamy wierzchnie części odzieży, że bielizna jest kolorowa, a biálogowy nie czują się

obrażone, gdy nazwać je kobietami.

W natłoku seryjnych produktów, które otaczają nas w życiu, artystyczny ekslibris może spełnić jeszcze jedną, jak sądzę ważną rolę. Oto każdy człowiek, wrażliwy na piękno grafiki, może mieć swą prywatną, domową galerię miniaturowych dzieł sztuki, noszących ślad ręki artysty. Zebranie kilkunastu czy kilkudziesięciu artystycznych ekslibrisów nie wymaga specjalnych nakładów finansowych, poszczególne ulubione prace można eksponować w mieszkaniu, zmieniając je co pewien czas, a wreszcie łatwo przechowywać w każdej nieco większej szufladzie. Wydaje się, że jest to najprostszą drogą, aby przynajmniej w niektórych naszych M-ileś tam, podobnie umebowanych i wyposażonych, oryginalne miniatury graficzne zadziałały i nadały im indywidualny i niepowtarzalny nastrój.

Kto jednak zechce zgromadzić większą kolekcję i zwielokrotnić swe radości i satysfakcje estetyczne z niej płynące, a jak sądzę niezbędne dla dodania żywej barwy i smaku, ten powinien zdawać sobie sprawę z czyhającej na niego mielizny. Od co najmniej 15 lat można dostrzec w Polsce bardzo ożywiony ruch kolekcjonerski w dziedzinie ekslibrisu, mnożą się zbieracze, giełdy, kolekcje oceniane się według ilości posiadanych egzemplarzy (tu Jerzy Wilmański też nie jest bez winy), choć można by przecież ocenić je na wagę, na przykład kto ma 10 kilogramów ekslibrisów ten jest lepszy od tego, kto ma tylko 9,5 kilogra-

ma. Namnożyło się mnóstwo śmieci ekslibrisowych, a sprawcami tego są zarówno kolekcjonerzy bez gustu, jak nieudolni plastycy-amatorzy, osoby prywatne i instytucje (niektóre biblioteki publiczne, Dom Książki).

Dzieje się to wszystko w kraju, gdzie od 1963 r. odbywa się co dwa lata najważniejszy w świecie przegląd artystycznego ekslibrisu — Międzynarodowe Biennale Ekslibrisu Współczesnego. O uczestnictwo w nim ubiegają się liczni artyści graficy z wielu krajów, a kwalifikowane na kolejne wystawy prace wyznaczają najwyższy poziom w dziedzinie miniatury graficznej. Ekspozycje Biennale za sprawą Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki i przy organizacyjnej pomocy Biura Wystaw Artystycznych w latach 1975 i 1977 były prezentowane w Łodzi w Galerii BWA przy ul. Wólcząńskiej.

Niech mi będzie wolno wyrazić żal, że zostały one odnotowane tylko w krótkich wzmiankach recenzentek w gazetach codziennych, że nie dostrzeżono wystaw towarzyszących, takich choćby, jak „Małe formy współczesnej grafiki radzieckiej” czy „Grażyna Dedyte — grafika i ekslibris”. A tymczasem Łódź ma szansę stać się miejscem najważniejszym w ruchu ekslibrisowym nie tylko polskim — w czerwcu przyszłego roku właśnie w naszym mieście będzie miało swą premierę Międzynarodowe Biennale Ekslibrisu i Małych Form Grafiki. Proszę wybaczyć wyrzut, ale Jerzemu Wilmańskie-

mu fajansowy ekslibris faraona Amenhotepa III i herbowy Ciolek na ekslibrisie biskupa Drzewieckiego jak gdyby przesłoniły sprawy bliższe w czasie i przestrzeni.

Jerzy Wilmański odnotowuje albumy i monograficzne teki ekslibrisowe wydawane za granicą, a przecież warto pamiętać i o tym, że w naszym mieście staraniem Zarządu Dzielnicowego TPPR Łódź — Baluty ukazała się w 1975 r. teka „Temat polski w ekslibrisach E. N. Tichanowicza” zawierająca 13 akwafort, na których białoruski artysta przedstawił portrety wybitnych Polaków. W Łodzi w 1977 r. ukazało się „166 ekslibrisów Stasysa Eidgeviciūsa”, wydawnictwo LTPK będące monografią twórczości ekslibrisowej jednego z najwybitniejszych artystów młodego pokolenia Litewskiej SRR. O licznych wystawach organizowanych w Łodzi przez BWA, TPPR, łódzkie domy kultury (szczególnie zasługi ma tu SDK „Lokator” w popularyzowaniu małej grafiki czeskiej i słowackiej) i biblioteki, a nawet Teatr Powszechny już nie wspomnę, pozostawiając to kronikarzom życia kulturalnego miasta.

Łączę bibliofilskie pozdrowienia, a ponieważ Jerzy Wilmański zechciał życzliwie odnotować w swym artykule i mój zbiór ekslibrisów, nieknie zapraszam do jego obejrzenia.

GRZEGORZ MATUSZAK

Autor powyższego artykułu jest pracownikiem Uniwersy-

tetu Łódzkiego, wiceprezesem Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki oraz przewodniczącym Sekcji Ekslibrisu LTPK. (Red.)

RYMY...

Mój prześwietny kolega Widok („Odgłosy” z dnia 28.XI.75) pomylił mnie zapewne z Adamem Anyskiem i dążył się teraz, że w moim wierszu opublikowanym we wrześniowej „Poezji” znajduje się „nieświeta” (!) słownictwo rytmów petych.

I dziwi się również, że wiersz o uporządkowanym systemie sylab i zestrojów akcentowych z jego pełnym prawem do anakrusy, spadków katepatycznych i transakcentacji — nowinki formalnej już z czasów Puszkina, nazywam sylabotoniem (trocheizmem).

Dla świętej zgody proponuję więc nazwę inną: wiersz zgłoskowo-przyeliskowy (trocheizny). A swola droga niech Pan Bóg Kocha Widoka, za to, że zmusił mnie do studiowania wersyfikacji własnego tekstu. Jak to przedwzrostki Narodowy Prorok „mam na twarzy taki wyraz boski, jak poeta, co wiersz pisząc liczy wierszokę”, (Beniowski, Warszawa 1958, s. 169).

Z ukłonami
DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

SPROSTOWANIE

W numerze 44 zamieścił artykuł „Pasja Edwarda Dembowskiego” p. JADWIGI LUZYŃSKIEJ-DOROBOWEJ. Z winy korekty nazwisko Autorki zostało zniekształcone, za co ja i Czełnitkowi serdecznie przeprasamy.

REDAKCJA

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redakcja techniczna). Stałe współpracują: JAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

Jest w Gdyni ulica Antoniego Abrahama. Ani zbyt okazała, ani zbyt wielka. Biegnie równoległe do słynnej ulicy Świętojańskiej, niedaleko Skweru Tadeusza Kościuszki, gdzie tysiące turystów przychodzi oglądać morze i cumujące przy nadbrzeżu wodoloty, statki i promy. Wielu z nich mija obojętnie ulicę Antoniego Abrahama, nie zastanawiając się nawet kim był i czym zasłużył się Gdyni. A odegrał on w historii Pomorza Gdańskiego wcale nie małą rolę.

Pierwsza wojna światowa

dobiegała końca. W Rosji wybuchła rewolucja. Austro-Węgry rozpadły się gwałtownie. Skorzystano z tego w Królestwie Polskim i Galicji i najwcześniejsze przystąpiono do odbudowy państwa polskiego. 28 października 1918 roku powstała w Krakowie Polska Komisja Likwidacyjna, na czele której stanął Wincenty Witos. W trzy dni później Austriacy podpisali w tymże Krakowie akt kapitulacyjny i zaczęło się w Galicji rozbrajanie austriackich żołnierzy i formowanie wojska polskiego.

5 listopada 1918 roku z inicjatywy SDKPiL i PPS — Lewicy powstała w Lublinie Rada Delegatów Robotniczych, a w nocy z 6. na 7 listopada — rząd polski, zwany też lubelskim, na czele którego stanął Ignacy Daszyński. W Warszawie działała powołana przez Niemców Rada Regencyjna.

9 listopada 1918 roku abdykował cesarz Wilhelm II, a w dwa dni później na stacji kolejowej Rethonde, niedaleko miejscowości Compiègne w południowej Francji, Niemcy podpisali rozejm na warunkach jakie im podyktował głównodowodzący wojskami koalicji, marszałek Ferdinand Foch. Rozejm zmuszał Niemców do opuszczenia zajętych terenów Belgii i Francji, Lotaryngii i Alzacji, odejście z Austro-Węgier, Rumunii i Turcji. Państwa koalicyjne uznały natomiast, że ziemie polskie będące pod zaborem pruskim stanowią część państwa niemieckiego. Co więcej, Roman Dmowski działający w Komitecie Narodowym Polskim wymógł na państwach koalicji, aby wojska niemieckie opuściły okupowane tereny Królestwa Polskiego i inne ziemie polskie dopiero wtedy, gdy Ententa uzna to za odpowiednie. We wspomnieniach swoich napisał on później:

„...zażądałem uzupełnienia tego artykułu zastrzeżeniem, że na wschodzie ewakuacja wojsk niemieckich nastąpi dopiero wtedy, gdy państwa sprzymierzone tego zażąda”.

Był to dodatek do 12 artykułu rozejmu. Pozostawiając wojska niemieckie na wschodzie działaczom z Polskiego Komitetu Narodowego i politykom Ententy — chodziło o stworzenie pasa bezpieczeństwa przed naporem i rewolucji rosyjskiej. Bardziej bano się o interesy klasowe niż o naród. Rozwój wypadków poszedł jednak w innym kierunku.

10 listopada wrócił do Warszawy Józef Piłsudski i Rada Regencyjna przekazała mu władzę. Rozbrojono Niemców. Rozpoczął się proces formowania się państwa polskiego. Ale ziemie polskie

w zaborze pruskim

nadal pozostawały w obrębie państwa niemieckiego i nie nie wskazywało, że wrócą one do Polski. Państwa koalicyjne, przygotowując się do konferencji pokojowej, jaka miała się zebrać w Paryżu, wychodzili z założenia, że Śląsk, Poznańskie, Pomorze i Prusy Wschodnie nie mogą być przedmiotem rozważań na temat podziałów terytorialnych. Ich zdaniem tylko Galicja była obszarem spornym.

Wstępne rokowania koalicji z Niemcami, podjęte w październiku 1918 roku, ośmieliły polskich posłów w parlamencie Rzeszy i wtedy Wojciech Korfański wystąpił z żądaniem powrotu do Polski: Poznańskiego, Pomorza Gdańskiego, polskich powiatów Prus Wschodnich oraz Śląska Górnego i Opolskiego. Żądania te zostały przez Niemców odrzucone. Niemcy nie myśleli rezygnować z

ziem, które im przypadły w czasach rozbioru Polski.

Więść o przegranej wojnie przez

cy musieli zaniechać wszelkich działań wojennych. Pomorze jednak pozostało nadal w rękach niemieckich.

Antoni Abraham

urodził się w 1869 roku we wsi Zdrada koło Pucka. Jego ojciec był robotnikiem. Był patriotą i zaciekle wrogiem bismarckowskiego „Kulturkampfu”. Rósł więc Antoni Abraham w atmosferze walki i walka stała się jego żywiołem. W życiu swoim pełnił różne zawody. Był rybakim, leśniczym, murarzem, woźnicą, ale

czelnej Rady Ludowej w Poznaniu i jej Podkomisarjatu w Gdańsku.

Od wczesnej młodości zdawał sobie sprawę, że o polskość tych ziem nie można walczyć w pojedynkę. Założył więc wspólnie z Józefem Czyżewskim i Józefem Szulcem w Oliwie Towarzystwo Ludowe „Jedność”. Organizował Kaszubów do walki o ich prawa narodowe. Ale, gdy przyszedł rok 1919 i w Paryżu zebrała się konferencja pokojowa, kiedy sprawami ziem polskich i Polaków zaczęli zajmować się obcy politycy, zrozumiał, że teraz trzeba działać inaczej i że jest to zadanie dla nie-

Popart go prezydent USA Woodrow T. Wilson.

Gdy wieść o targach terytorialnych, jakie prowadzono w Paryżu, dotarła na Pomorze, postanowiono wysłać tam delegację, aby przemówić w imieniu tych, którzy tu przez dziesiątki lat walczyli o polskość, cierpieli prześladowania i chcieli, aby ziemie te wróciły do Polski. Uważano bowiem, że obcy politycy nie znają pr wdy o polskich ludzi na Pomorzu, prawdy o Kaszubach, którzy nie ulegli niemieckim i chcą być w Polsce. Wybrano delegację, w której obok dr Mieczysława Marchlewskiego, Tomasza Rogali z Kościerzyny i Antoniego Miotka z Pucka znalazł się też Antoni Abraham. Do Paryża jednak dotarli tylko w trójkę. Antoniego Miotka Niemcy aresztowali pod byle jakim pozorem, aby uniemożliwić mu wyprawę do Paryża. Którzy pozostali dotarli do Warszawy, tego nie wiadomo. Józef Piłsudski, który ich przyjął, odradził im dalszej podróży. Nie podobala mu się inicjatywa Pomorzan. Ruszyli mimo to. Dotarli do Paryża. Dostali się przed oblicze prezydenta USA Woodrowa T. Wilsona i premiera brytyjskiego Davida Lloyd Georgea.

Różnie opowiadają o tej wizycie. Różnych używali argumentów, aby przekonać kogo trzeba, że Pomorze jest polskie. Posłużyli się nawet książką telefoniczną z Kościerzyny, gdzie większa część nazwisk była polskich. W końcu Antoni Abraham miał walczyć pięścią w stół i zawołał:

— Jak krzyknę, stanie cztery tysiące Kaszubów, olbrzymów jak ja. Pomorza nam ani kusy purtk zabrac nie może!

Kusy purtk — to diabeł. Czy więc diabeł ziękły się politycy, czy Antoniego Abrahama i czterech tysięcy takich jak on olbrzymów, tego już legenda nie mówi. Ale bezspornym faktem jest, że wizyta kaszubskich działaczy wywarła wielki wpływ na polskich przedstawicieli w Paryżu, że zmusiła ich do bardziej skutecznego i konsekwentnego działania.

29 czerwca 1919 roku podpisano

traktat w Wersalu.

Polska otrzymała Poznańskie, które już i tak do niej należało, otrzymała część Pomorza Gdańskiego, a w okrogach kwidzińskich i olsztyńskich oraz na Śląsku miał odbyć się plebiscyt. Roman Dmowski, który uczestniczył w rokowaniach i reprezentował Polskę w Paryżu, tak ocenił postanowienia wersalskie:

„Nie osiągnęliśmy tego, do czegośmy dążyli, cośmy uważali za konieczne dla bezpieczeństwa Polski, dla jej pomysłowego rozwoju, dla utrzymania jej niezawisłego bytu — i do czego mieliśmy prawo”.

A Wojciech Trampeyński tak mówił 10 lutego 1920 roku w Sejmie Rzeczypospolitej:

„Uzyskaliśmy wprawdzie dostęp do morza, uzyskaliśmy wolną żeglugę na ujściu Wisły, ale nie odzyskaliśmy jedynego portu, jaki brzeg Bałtyku mógłby nam dać, nie odzyskaliśmy Gdańska... Potężne państwo polskie nie może scierpieć, aby centrum jego handlu zamorskiego leżało poza granicami kraju. Zatem natychmiast winniśmy przystąpić nie tylko do tworzenia własnej floty, ale i budowy własnego portu na polskiej ziemi...”

17 stycznia 1920 roku wojsko polskie wkroczyło na Pomorze. Tak jak wszyscy radnie witał je Antoni Abraham. Brał udział w „zaślubinach z morzem” jakie odbyły się 20 lutego 1920 roku w Pucku. Nie wiedział tylko, że kilka dni wcześniej szwadron 2 pułku Szwoleżerów Rokitańskich z brygady kawalerii generała S. Suszyńskiego dowodzony przez Zdzisława Rozwadowskiego, zgodnie z otrzymanym rozkazem, dotarł do Gdyni do morza i tak jak formułował rozkaz „nawiązał kontakt z morzem”. Było to w tej Gdyni, w której później wybudowano port, w której osiadł też Antoni Abraham.

Zmarł 23 czerwca 1923 roku. Pochowano go na Oksywju, nad samym Bałtykiem. Został po nim czerwony domek. W tym domku w 1970 roku założono muzeum miasta Gdyni.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KASZUBSKI

KRÓL JEDZIE

DO PARYŻA



Niemcy, o abdykacji cesarza Wilhelma II jeszcze bardziej ośmieliła Polaków w zaborze pruskim. 10 listopada 1918 roku ujawnia się, istniejący od 1916 roku, Centralny Komitet Obywatelski. Następnego dnia zmienia nazwę na Radę Ludową. Postanowiono zwołać Sejm Dzielnicowy, który miałby wyłonić Naczelną Radę Ludową. Sejm taki zebrał się 3 grudnia 1918 roku, a brali w nim udział przedstawiciele Wielkopolski, Pomorza, Śląska i Prus Wschodnich. Sejm ten postanowił, aby „z państwem polskim złączyły się te dzielnice byłego królestwa pruskiego, w których mieszka od wieków ludność polska”. Powołano też Komisariat Naczelnej Rady Ludowej i Podkomisarjaty w poszczególnych rejonach ziem polskich zaboru pruskiego. Jeden z takich Podkomisarjatu powstał w Gdańsku, a jego członkiem był wspomniany na początku Antoni Abraham.

Nic to jednak sprawy nie zmieniło. Walka o powrót tych ziem do Polski trwała nadal. Na początku Polaków Niemcy odpowiedzieli antypolskimi demonstracjami i prześladowaniami. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Potrzeba było tylko iskrę, aby w tej atmosferze wybuchł pożar. Tą iskrą był przyjazd do Poznania Ignacego Paderewskiego. Przyjechał on 26 grudnia, a 27 grudnia 1918 roku wybuchło powstanie wielkopolskie. Walki trwały do stycznia 1919 roku. Na wyzwolonych terenach utworzono władze administracyjne, na czele których stanął Wojciech Trampeyński. Koalicja uznała powstańców wielkopolskich za część swoich wojsk. Przez to Niem-

przed wszystkim był kaszubskim działaczem, agitator — jakbyśmy to dziś powiedzieli — emisariuszem polskości na zalewanym niemiecką Pomorzu. Był kolporterskim księżką. Wymyślił i kolportował slogan: „Elementarz, książka, gazeta, — to polskiego domu zaleta”.

Wędrował po Kaszubach kolportując polskie książki, kalendarze, gazety, a przede wszystkim „Gazetę Gdańską”. Sam zresztą do „Gazety Gdańskiej” pisywał, używając wiele pomysłowych, a dziś dziwnie brzmiących pseudonimów: „Antek spod kartuskiej gór”, „Antek z tucholskich borów”, „Antek spod pomnika Fryca”, „Antek z dużym rozkiem”, „Antek znad Bałtyku”.

Wyzwał zasadę: „Nam nie placak i rozpacz, ale bronie mężnie praw swych trzeba” i postępowal w myśl tej zasady. Niemcy wyczuli przeciw niemu 40 procesów politycznych. Zamykali go w więzieniu, a on albo swoje odsiadywał, albo uciekał i dalej walczył. Miał ponad dwa metry wzrostu i ogromną siłę, ale i wielki rozum. Kiedy po aresztowaniu w Redzie znalazł się niespodziewanie w Żarnowie i przemawiał na wiecu, niemieccy żandarmi dla wszelkiej pewności jeszcze na mównie założyli mu kajdanki. A on podniósł rękę i na oczach zebranych rozzerwał je. I powiedział:

— Jak ten łańcuch prysnął, tak prysnie nasza niewola.

Był w niemieckim wojsku w czasie I wojny światowej. Został ranny na froncie francuskim i wrócił na Pomorze. Z nową energią podjął walkę o polskość tej ziemi. W grudniu 1918 roku został członkiem Na-

go. Nie darmo nazywano go „Kaszubskim królem w maciejówce”.

W Paryżu

zebrała się konferencja pokojowa i zaczęły się przetargi. Interesy dotychczasowych sojuszników zaczynały się rozchodzić. W Paryżu nie było delegatów rewolucyjnej Rosji. W Rosji trwała wojna domowa i Francja, której bardzo był potrzebny na wschodzie silny sojusznik przeciwko Niemcom, po pierwsze — skłonna była przychylić się do polskich żądań w sprawie granicy zachodniej, aby Polska mogła stać się tym potrzebny, silnym sojusznikiem Francji, a po drugie — ostrożnie podchodziła do spraw polskiej granicy wschodniej, aby w razie restauracji kapitalizmu w Rosji nie stracił potencjalnego sojusznika.

Powołana przez Radę Najwyższą specjalna komisja do spraw terytorialnych Polski zaproponowała, aby Polska otrzymała Górny Śląsk, Poznańskie i Pomorze Gdańskie wraz z Gdańskiem. W sprawie Śląska i Pomorza uwzględniono niemal całkowicie żądania polskie. Plebiscyt miał się natomiast odbyć w Prusach Wschodnich. Takie rozwiązanie nie odpowiadało Anglii.

Anglia nie miała żadnego interesu w osłabieniu Niemiec, ani w tym, aby Francja związała się z Polską. Anglia chciała panować również na Bałtyku i dlatego premier brytyjski, David Lloyd George, kiedy otrzymał projekt załatwienia polskich żądań terytorialnych, wysunął koncepcję stworzenia wolnego miasta Gdańska.

PRZEMYSKIE SPOTKANIE

Tegoroczna sesja Polsko-Czechosłowackiej Komisji Historycznej, bilateralnego ciała naukowego, powołanego do życia na mocy porozumienia, zawartego przez Akademię Nauk obu zaprzyjaźnionych krajów, odbyła się w dniach 11 — 15 października w Przemyslu. Tematem obrad były tym razem „Tradycje ruchu robotniczego a świadomość historyczna naszych narodów”. W ten sposób Komisja zakończyła cykl posiedzeń, poświęconych zagadnieniom świadomości historycznej narodów polskiego, czeskiego i słowackiego, którymi zajmowała się w latach ostatnich. Rozpoczął się on w 1975 r. od konferencji, odbytej w Brnie, która była poświęcona ogólnym zagadnieniom teoretycznym oraz kwestiom współczesnej świadomości historycznej trzech naszych narodów. Był on kontynuowany na kolejnych sesjach, które odbyły się we Wrocławiu (1976) oraz w Pradze (1977). Konferencja przemyska przyniosła jego zamknięcie i była

również owocna, jak poprzednie sesje. Z pewnością też przedstawione podczas obrad referaty i materiały złożą się w niedalekiej przyszłości na interesującą, wartościową publikację naukową. Jest dobrym zwyczajem Komisji, polegającym już od wielu lat, by corocznych konferencji nie przeciągać nadmiarem referatów, aby prezentowane podczas obrad zagadnienia mogły zostać poddane pod możliwie szeroką, kompetentną dyskusję zaproszonych specjalistów. Tak też było i tym razem. Liczące sześć historyków delegacja czeskosłowacka — której przewodniczył docent dr Miroslav Hroch z Uniwersytetu Karola w Pradze, w zastępstwie chorego członka — korespondenta Akademii Ludovita Holotika — przedstawiła podczas obrad trzy referaty. Delegacja polska na czele z przewodniczącym strony polskiej Komisji prof. dr Romanem Heckiem z Uniwersytetu Wrocławskiego zaprezentowała za swej strony

jedynie dwa. I tak znany badacz dzieł historycznych i słowackich docent dr Adelin Grobelny mówił w swym referacie o formowaniu się świadomości i wiedzy historycznej klasy robotniczej w przemysłowych okrogach Czech do 1918 r., zaś dr Alena Bartlova poświęciła swoje wystąpienie omówieniu kształtowania się świadomości historycznej proletariatu na Słowacji. Delegacja czeskosłowacka przedstawiła jeszcze jeden referat, o charakterze bardziej od poprzednich ogólnym i teoretycznym, wygłoszony przez dr Otto Urbana, poświęcony w całości zagadnieniom formowania się świadomości historycznej w ruchu robotniczym. Stronę polską reprezentowały referaty prof. dr Ryszarda Kolodziejczyka pod tytułem „Polski ruch robotniczy a tradycje historyczne” — przedstawiony z powodów nieobecności autora przez dr Halinę Winnicką — oraz niezmiernie interesująca praca doc. dr Władysława L. Karwackiego „Świadomość historyczna proletariatu polskiego w latach zaborów. Postulaty badawcze”. Zwłaszcza ten ostatni referat, podsumowujący wyniki szeroko zakrojonych badań autora nad zagadnieniami wiedzy i świadomości historycznej polskiej klasy robotniczej, dostarczył wiele okazji do ożywo-

nej dyskusji. Opócz gości zagranicznych wzięli w niej udział specjaliści polscy z różnych ośrodków, mianowicie z Warszawy, Wrocławia, Krakowa, Łodzi jak również Przemysła. Komisja ustaliła, że jej najbliższe, przyszłoroczne posiedzenie odbędzie się w Pradze i będzie miało — jako dwudziestą już kolejną sesję tego bilateralnego ciała naukowego — szczególnie urozycisty charakter. Podczas obrad dotarli do zgromadzonych historyków pierwsze egzemplarze wydawnictwa „Dawna świadomość historyczna w Polsce, Czechach i Słowacji”, opracowanego pod redakcją prof. dr Romana Hecka, opublikowanego właśnie przez Instytut Historii PAN we Wrocławiu Ossolineum, zawierającego pokłosie konferencji Komisji z 1978 r.

Tyle informacji o wydarzeniu może nie zbyt głośnym — choć odnotowała je prasa oraz inne środki przekazu — ale z pewnością nie bez znaczenia dla rozwoju międzynarodowej współpracy naukowej w dziedzinie badań historycznych. Przemyskie spotkanie historyków z Polski i Czechosłowacji miało jednak także i inny aspekt. Ukazało uczestnikom konferencji autentyczny dorobek niewielkiego przecięcia, ale niezmiernie przężnego miejscowe-

go środowiska naukowego i kulturalnego, ten dorobek naukowo-badawczy i organizacyjny, który zbyt rzadko bywa dostrzegany z perspektywy naszych wielkich centrów życia intelektualnego. Wydawnictwa historyczne, naukowe i popularnocyjne, ogłoszone w Przemyslu, jakimiś otrzymał podczas obrad, informacje o pracach będących w toku, o bliższych i perspektywicznych zamierzeniach, dotrzymujących w tym starym i nowym jednocześnie mieście, autentyczny dorobek placówek naukowych i kulturalnych — by wspomnieć o Oddziale Polskiego Towarzystwa Historycznego z jego energicznym prezesem dr Zdzisławem Kociecznym na czele, o muzeum, archiwum i innych placówkach — wszystko to warło na uczestników konferencji silne wrażenie. Z całą pewnością jest dziś Przemysł jednym z tych mniejszych miast w naszym kraju, które dzięki wysiłkom władz, pracy i ambicji grona miejscowych działaczy, wkroczyło na drogę kulturowego awansu. Warto więc było się z tym zapoznać.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Mój kolega zachorował na „konie”. Od pewnego czasu odwiedzał Klub Jeździecki, rozpiął się na razie na żerdziach ogrodzenia ujeżdżalni i patrzył na drepczące w kółko konie, to znów na amazońki lepiej i gorzej dojadające szkolnych wierzchowców. Zaczęłam przypuszczać, że wyjątkowo i tylko moda na koniarzy zrodziła w nim tę pasję, chyba że nagle w nim zaczęły działać pod wpływem jakichś nieznanych bodźców i dotąd przyhamowane cechy genetyczne przekazane przez jego przodków wozowodów i smolarzy. Może to z punktu widzenia biologicznego, biochemicznego miało uzasadnienie, lecz ja jako kompletny ignorant w tej dziedzinie nauk nie poświęciłam najmniejszej chwili na dokształcanie siebie w tym zakresie, natomiast doszukiwałam się na jego twarzy i w postawie najdrobniejszych cech zdradzających choćby już cudzych przodków koniarzy jak Tatarów lub Arabów, nawet już rodzimych ulanów, i nie z tego. Wprawdzie był jak dragowina lecz ukasztatowana jakby z elastycznej masy. Nie miał w sobie za sprężystości ulańskiej, tej ciągłej mobilizacji siebie, żeby na koniu i nie na koniu jak „malowanie”. Reprezentował raczej typ, o którym można było powiedzieć „Jakim mnie Boże stworzył, takim mnie i macie”. I po co się wysilać? Może nawet zatwardziało w nim to przeświadczenie, lub pokutowała podświadomie zarozumiałość męska, że „w mężczyźnie nigdy nie trzeba poprawiać”.

Im dłużej z nim przebywałam, przekonywałam się, iż mimo to, że przyszedł ze wsi do miasta nie pamiętał już końskiego zapachu, a nigdy go nie można było nawet podejrzewać o znajomość końskiego rodowodu z legendy — konia z wiatru — czy też bardziej prozaicznego, biologicznego.

Po prostu nachodziło coś chłopca od czasu do czasu i tak trzeba było przyjmować to jego nowe hobby, obecną hipomanie. I wszystko byliby w porządku gdyby to jego nowe hobby nie absorbowało mnie, nie zabierało mego drogiego czasu, bo akurat znalazłam dziewczynę, którą spotyka się jeden, jedyny raz w życiu. Zresztą czy z tą jedną jedyną raz spotkaną na drodze swego życia, czy z tą z tysiąca razy spotkanych, zawsze wolałam pójść do kina, na prywatkę, czy nawet przejść się po centralnej ulicy miasta, aniżeli jechać z nim luksusowym autem na hipodrom, w istocie mizerny placyk wygrodzony żerdziami i z kilkoma przeskodami.

Już od pierwszego razu doprowadziło mnie do obłędu klaskanie bicia pod kopytami końskimi, bieg w kółko i w kółko szkolnych koni i trzymających się na nich, czego tylko da się uciepić, pierwszoklasistów szkoły jeździeckiej. Już po pierwszej bytności z kolegą na „hipodromie” moje myśli jakby wprężnięto w kierat i ledwo je mogłem powstrzymać i nadać im ponownie właściwy tor, niekiedy i nie zniknięty. Dlatego od tamtej pory proponuję kolegi, jednocześnie mego dyrektora, odwiedzenia ujeżdżalni zastąpiam się jak tarczą kłami i już po jednym tylko sezonie jeździeckim tak się wykształciłem w sztuce klamania, w sztuce rozwijania i rozbudowywania wyobraźni, że mogłem konkurować z najbardziej wytrawnymi klameczuchami świata. Napisanie opowieści fantastyczno-naukowej byłoby dla mnie obecnie pestką. Stawałem się speciem w zmyślaniu sytuacji, igrałem z własną wyobraźnią nie znając granic możliwości eksploatacji jej. A zawiadnia mnie w najbardziej krytycznej chwili, w najbardziej decydującej. Wtedy jednak również nie zdalem sobie zbyt jasno sprawy, że się kończy w mnie, wysycha tak zwykłe jak źródło, lub wyczerpuje się jak na przykład woda w studni.

Akurat zawiąła się w biurze ta jedna jedyna, spotykana jeden raz w życiu oświadczała:
— Powiadomimy moich rodziców o dacie naszego ślubu nie w przyszłym tygodniu, lecz w tym i koniecznie w piątek, bo w sobotę wyjeżdżają do Bulgarii.
— Dzisiaj możemy to zrobić — zaproponowałam.
— Ale ty masz kurzą pamięć! Przecież dzisiaj mam pierwszą przymiarę ślubnej sukni.
— No to jutro, jutro przecież środa — przesyłałam datę.
— Jutro! Jutro jadę z matką do babki. Może wreszcie uda się ją namówić na miasto. Zilkwiduje się to jej kurze stadko na nasze ślubne przyjęcie i wtedy nie będzie już miała do roboty na wsi.
— Więc we czwartek.
— Ale ty jesteś dobry! Przecież we czwartek jest święto, Boże Ciało! Matka na pewno pozostanie z babką.
Nie zdążyłam już podać innego terminu, bo między nas wtargnęła sekretarka dyrektora. Mówiła surowym głosem:
— Szukam pana wszędzie od dziesięciu minut. Pan dyrektor wzywa pana. To bardzo pilna sprawa.
Prawie mnie ścigała z mego miejsca. Zdążyłam tylko dziewczynie powiedzieć:
— Zadzwoń do ciebie później i konkretnie umówimy się. Nie zdążyłam nawet jej pocałować. Ledwo nadążając za dragoniem krokiem sekretarki pytałam złośliwie.

— Zawał instytucji? Bo jeżeli dyrektora, to raczej należałoby ściągnąć lekarza nie mnie.
Milczała.
„Ależ zgaga” — myślałam o niej z niechęcią. Najczęściej myślałam o niej z niechęcią.
Zatrzymując się przed drzwiami dyrektora otworzyła je niezbyt szeroko, sama zaś usunęła się bezszelestnie.

Na mój widok dyrektor uśmiechał się promiennie. Podsuwając mi gazetę powiedział:
— Czytaj stary! Coś wynalazłem ważnego.
Rzuciłem okiem na treść ogłoszenia „Skup rzeźnych koni” z wyszczególnieniem miejscowości, dokładnych dat, Zrozumiałem i struchlałem. Szukał dla siebie wierzchowca spośród koni przeznaczonych na rzeź. A już całkiem mnie dobił wymienianą najbliższą piątek.
— Pojedziemy stary, co? Nie odmówisz przyjacielowi. Ty się znasz na koniach. Wiesz, czasem coś się trafia cennego i w szmelcu. Zobaczymy. Wiesz jak jest teraz u mnie z forszą. Własnościowe mieszkanie spukało doszczętnie.

Pomyślałem: „Wyrosłem już przyjacielu z bajek. Bajki to możesz innym opowiadać nie mnie, ale pal cię licho. Ale przyrzekam ci, że to mój ostatni piątek poświęcam dla ciebie, zaspokojeniu twoich namiętności jeździeckich. Zmuszę cię do kupienia chabety choćby moje oświadczenie miałym przesunąć na piąty piątek. Dziewczyna wybacz, musi wybaczyć, bo uwierzy moim kłamstwom, nawet z oczami pełnymi łez, gdy będę kreował siebie na jakiegoś współczesnego Atlasa skazanego na ciągłe podtrzymywanie swego zakładu pracy”.

Dziewczyna wybaczyła jeszcze w środę, a w piątek przybiegła tylko na chwilę tuż przed moim wyjazdem z dyrektorem w celu ratowania zagrożonej instytucji kompletną ruiną, przybiegła mnie tylko pokrzepić pocałunkiem na tak ciężką drogę w tej ciężkiej akcji.

I tak pokrzepiony znalazłem się w piątek w maleńskiej mieścinie z dwoma ulicami na krzyż. U ich skrzyżowania restauracja „Pod blaszanym kogutkiem” ogromnie strzępiastym i zadziornym, jakby sposobnym się do walki ze swoimi rywalami uchodzącymi samopas po centralnych ulicach miasteczka.

Po zaparkowaniu wozu przed restauracją, bo tak uważaliśmy, że najbezpieczniej, kolega dyrektor ruszył w kierunku wskazanym przez tutejszego mieszkańca. Powlokłem się za nim bez entuzjazmu z zatwardziałością mego postanowienia „że to ostatni już raz”.

Kolega pierwszy dostrzegł konie. Stały z opuszczonymi łbami, uwiązane u metalowej poprzeczki, apatyczne i bezbronne.

— Wiesz co stary, idź sobie sam wybierać wierzchowca, ja zwracam.
— Spuchleś?! Sflaczałeś na widok takiego tabunu?!

To nie była złośliwość, ironizowanie, w jego głosie wyczuwałem raczej niepokój z powodu mojej nie przewidzianej reakcji, mego wewnętrznego oporu.
— Wiesz stary, tak Bogiem a prawdą, jakoś mi nieswojo na widok wyścigowców o białych rżesach, mgławych oczach, obwisłych bokach. Może by było inaczej, gdyby to stado normalnie pasło się na łące. Parszywa świadomość... wiesz, przed laty oglądałem taki film, amerykański. Spędzono stado krów chorych na przyszcycie do specjalnie wykopanych dołów i wystrzelano co do sztuki. Sciskałem wtedy nos, żeby nie sikać, a po mojej skórze wili się węzły dreszczu. Miałem jedno pragnienie, żeby jakaś siła boska czy piekielna odwróciła lufy o te sto osiemdziesiąt stopni, a nie byłem już chłopackiem.

— Weź się w garść! Masz szansę uratowania jednego z nich przed jatką. Pomóż lepiej rozjeżdż się za jakąś skoczną kobyla.
Pomyślałem o koleźce: „Szalony! Mógł mi się we mnie! Jak można mówić skoczny o trupie”.

W otwartych drzwiach przestrzennej szopy stało kilku mężczyzn i koń na platformowej wadze. Spierali się z młodym, energicznym mężczyzną o wagę lub o cenę konia.

Energiczny człowiek odpowiadał podniesionym głosem: — Zmusza was kto do przyprowadzania waszych szkap? Czego więc tak drżycie obywateli? Nam potrzebna konina eksportowa, a nie skóra i ścięgna, no!

Kolega zwrócił uwagę na czwartego z rzędu konia — siwka. Wprawdzie grzbięt i zadę miał już przyproszone gęsto rdzawymi plamami, starczy mi wykwiłami pigmentu, to jeszcze jednak miał czarne, żywe oczy, jeszcze lekko czterościenne chrapy, jedyny ogon ochlastający boki przed gziemi. Te czterościenne chrapy i ruchliwy ogon świadczyły o niecałkowicie zużytych wigorze siwka.

— Popatrz na jego przednie nogi! Jak u kangura — zachlystywał się kolega — mówileś o takich koniach, że są skoczne, właśnie z kangurzymi nogami.

„Tylko jeszcze przeschlepić ogon kangurzy, może by wtenczas i przeskoczył półmetrową przeszkodę” — odpowiadałem koleźce w myślach.

— Te kangurze nogi utkwiły mi w pamięci — rozpoczął znów kolega — ty się marnujesz za biurkiem. Wi-

dząc twoje miejsce na hipodromach, w szkolach jeździeckich. No spójrz wreszcie do diabła na te nogi!
„Odczep się stary! — chciałem warknąć. — Przecież nie takiego nie mogłem mówić — ale się powstrzymałem.”

Zaskoczył mnie swoją pamięcią. Prawdopodobnie coś takiego spłotem, skoro go wprost po maniacu przesładują te kangurze nogi.

Kolega przypomniał dokładnie, wpatrzony w krótkie przednie nogi konia, których budowa raczej wskazywała na pewien fizyczny niedorozwój: — To przecież ty mi opowiadałeś o koniu zabranym twemu wujkowi przez Niemców. Ty opowiadałeś, jak zamknął go w wysokim ogrodzeniu i ogierek dał susa i powrócił do swego gospodarza. Uciekał po trzykroć zrywając wiązania i przesadzając ów dwumetrowy plot, po raz czwarty też udało mu się uciec, tak mówileś, tylko że już nie wrócił do swojego pana, a prosto w chaszczkę nadsaprałskie. I odnalazł go po roku czy więcej razem z twoim wujkiem wydziedziczonego, na wpół ży-

na nied, przesunął ręką po wygarbanym pysku do warg konia.

— Co tak stoisz z odwieszonymi łempami? — powiedział do konia usiłując jednocześnie zewrzeć dłoń wargi końskie.

Koń poruszył wargami, jakby szukał w zwierającej rece gospodarza kawałka cukru lub chleba.

Szepnąłem koleźce: — Zaczynają targ.

Kolega rozpoczął: — Mam zamiar kupić pańskiego konia...

Chłop był zajęty wciąż zwierzęciem. Palcem wymacał niewielkie spoecznię na końskiej szyi pośród zszopaciałej sierści. Po chwili ledwo z siebie wydusił: — A ile to jest dla pana wart mój koń, co?

Podpowiadałem cicho koleźce stojąc za jego plecami: — Tyle, ile jest warte ćwierć tony koniny.

Kolega nie odpowiedział natychmiast. Na pewno obliczał koszt dwustu pięćdziesięciu kilogramów koniny. Musiał znać cenę końskiego mięsa. Kupował je przecież dla swego psa nabytego również pod dyktando mody.

poręczy, rzucił siwkowi na szyję i ujmując uźdę przy wargach szarpnął koniem do przodu. Siwek wyrzucił głowę do góry jakby w ten sposób raz jeszcze okazał swój bunt przeciw uziarzeniu przez człowieka. Po chwili już zwierzę pełne rezgnacji dętało obok swego właściciela.

Kolega pchnął mnie gwałtownie: — Słuchaj stary w tobie moja nadzieja. Dokończ mi jeszcze ten tydzień. Ty pobrafisz z nimi — weiskał mi do rak tysiącłotowy banknot — ty, stary, potrafisz z chłoniem, ty ich znasz. Mówiłeś, że najlepiej chłono poznaje się w kuźni, w młynie. Ty ich znasz z kuźni. Miałeś pełne rezgnacji, gdy pomarałeś swemu dziadkowi kuć konie i pomowałeś mi.

Zdebiłem. Ja w kuźni! Z dziadkiem! Przecież mój dziadek nigdy nie pracował w kuźni. Był marynarzem. Pomyliłeś nasze życiorysy. Popatrzaj na ciebie, no po prostu podpatrzaj ci się. Ale niech ci cholera! Niech ci będzie, że byłem kowalczykiem. Moich kłamstw wobec tego starczy ci na tysiąc takich transakcji.

Pobieśliem za chłoniem. Nawet nie raczył zatrzymać się, mimo że krzyczałem i wymachiwałem w ręku tysiącłotowymi banknotami. Dokończył.

— Pan widzi, co tu mam!

Popatrzyłem koso na moją rękę ze zmieszonymi banknotami. Dostrzegłem przez moment wahanie na twarzy chłono. Myślałem pośpiesznie, chaotycznie: „Lamie się”. Przypuściłem atak: — Niech się pan nie upiera niech pan sorzeda memu koleźce konia, dokończ jeszcze od siebie setkę. Rozumie pan, mój kolega zachorował „na konia”, na pańską chorobę. Chce mieć własnego. Niech ma chłop raz w życiu przyjemność. Zatrzymał się nagle! Powtórzył: — Powiadasz pan, że zachorował na pana, na pańską chorobę — patrzył mi to w ziemię ni to na własne buty — znaczy się na pańską chorobę.

Oparł się łokciem na łopate końskiej i patrzac gdzieś mimo mnie powiedział: — To powiódz pan swemu koleźce, że prawdziwy pan to nie tylko znał się na koniach, ale i na cenie. Bywało i tak, że prawdziwy pan oprócz pieniędzy i własna żonę dawał za konia. Tak to było z prawdziwymi panami, takie to mieli fanaberie.

— Dokończ panu jeszcze pare setek. To poważny facet. Dyrektor dużego przedsiębiorstwa.

— A powiedziałem, że nie. A niech będzie sobie dyrektorem. Mówię tylko, że z niego taki tam pan, jak z gnoju kula.

Nie ustępowałem. Bronilem już tylko siebie. Puściłem mimo uszu znieważając tytuł fanabery pańskich mego kolegi.

— Szesć tysięcy! Wystarczy? Do stałby może pan wiecie, co? Słyszysz pan, jak pańscy sąsiedzi wyklócają się z wagowym?

Wyłoczyłem ostatnią i najbardziej według mnie skuteczną broń.

— Zreszta po co wam teraz konie na wsi! Teraz traktorem, maszyną pracuje się w polu. Kółka rolnicze wypożyczają przecież maszyny, jeżeli ktoś nie posiada własnych.

— A wypożyczają panie, jakżeby nie tylko że maszyną nie oborze karpów, a grzywka to najlepiej rośnie między karpami, a karpów to u nas panie wiecie, aniżeli kamieni. Po uszyscy panie.

— Między karpami? Co to są te karp? — zastanawiałem się głośno.

Chłop dopatrzył na mnie. Na jego twarzy pojawił się wyraz porażliwej zadumy. Mruknął ni to do siebie ni to do konia: — Z tego widać że ani to pan ani to chłop. Poszlizm siwek!

Moja cierpliwość wyczerpywała się.

— Ile pan wreszcie chce za siwka? Wy tera pan za byle co chcecie Bóg wie co!

Przetrzymałem chłopca za rękaw, potrzasałem.

— Wykrztuś wreszcie człowieku! Przecież to pan sorzeda konia nie ja!

— A bo to ja powiedziałem że sorzeda. Wcale nie powiedziałem Poszlizm siwy.

Przetrzymałem chłopca za rękaw, strzeżem, że zielony dach Buksztelu jakby się przelamał nad płowym dywanem, a przecieł nie wiały tedy ani haniaki ani podobne im wiatry. Uderzały o nią zwykle niższe wiatry z wiekszą lub mniejszą siłą, lecz ich uderzenia łagodziały puszcza i ratem ta luka...

Przybiegł kolega, ścisnął moje ramie.

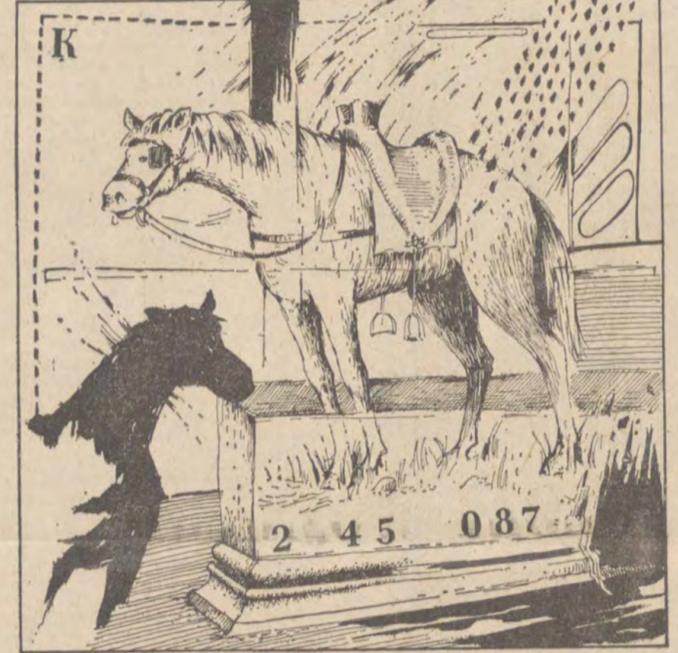
— No i co?

— Co? Popatrz sam.

Patrzyliśmy teraz zgodnie, obok siebie na oddalającego się człowieka z koniem ku zielonej ścianie Buksztelu. Za chwile ich wchłonie zarwie wywabli z krajobrazu, ale nie z mojej pamięci. Pozostanie w niej chłop buksztelski ze swym siwkem sprzedający mi gadkę o prawdziwym panu i o nas. Pomyślałem jeszcze, że kiedykolwiek mi przyjdzie z kolegi opowiedzieć jakimś facetom legendę o Buksztelu, to w mojej legendzie prawdopodobnie nie będzie już ni zielonej granicy puszczy, ni zanyziatego chłopca z siwkim, ni tego „ni to... ni to”.

Czas wydzierał przy nas jeszcze jedną kartę z księgi Buksztelu. Kolega powiedział: — Chodź stary jedziemy. Nie pierwszy i nie ostatni skup koni rzeźnych. Modny towar eksportowy. A zawsze coś się tam da wybrać ze szmelcu.

Maria Siwińska Z KSIĘGI opowiadanie BUKSZTELSKIEJ



wego z głodu pod zwalami śniegu.
„Coś takiego mogłem mu nagadać? Ja? Skąd to się u mnie bierze? — zastanawiałem się z kole — ten stary osioł nie wziął pod uwagę faktu, że nie takiego nie mogłem robić, a nawet pamiętać mieszkać cały czas w mieście od urodzenia i w pięć lat po wojnie spijając jeszcze w kółce. I to ma być ekonomista! Dyrektor mój! Do diabła z takim”.

Popchnął mnie w kierunku gromadki chłopów rozprawiających wciąż obok wagi.

— Zapytaj o właściciela tego siwego konia. Ja tymczasem przyjrę mu się dokładnie.

Właściciel siwka okazał się starym zapyziałym chłopem, który na wyłuszczonej mu propozycji ani drgnął i dopiero pod presją sąsiadów: — Rusz się Hieronim, no rusz się Hieronim, kiedy ci ludzie proszą — wyszedł poza krąg rozmawiających.

Przez tych kilka metrów drogi starałem się mu wyjaśnić: — Mój przyjaciel zwartował i chce kupić konia. Pana koń mi się podobał. Po co pan ma go sprzedawać na koninę, jeżeli koń może pozostać żywy.

Chłop potrząsał głową i trudno było zrozumieć czy te ruchy były do wodom akceptacji, czy też chorobliwe, wciąż jednak uparcie milczał.

Wytrącony trochę już z równowagi zachowaniem chłopca powtórzyłem raz jeszcze z naciskiem propozycję.

Zatrzymał się na moment i patrząc mi prosto w oczy spytał: — A po co warlatem koń?

Siląc się na spokój tłumaczyłem mu swoje przejęczenie się i dodatkowo: — Dobrze byłoby żeby pan sprzedał memu koleźce konia.

Raz jeszcze spojrział na mnie trochę złośliwie.

— To co tu pan tak obskakujesz jak pies kota na drzewie, trzeba z tym gadać, kto kupuje. Bo po co strzepliż język po próżnicy?

„Niech ci cholera! Rozmawiaj sobie z kolegą — wymyślałem mu w duchu — wiele z nim nie narozmawiasz, bo on tyle zna się na koniach co ja na galaktyce. Nic to, przysłucham się tej rozmowie. Ciekawym jak się potoczy”.

Właściciel siwka najsłodszej tymczasem ominął mego kolegę, podszedł do konia, rozluźnił popręg opasujący brzuch koński i przytrzymując jednocześnie płachtę na grzbiecie, zgonił rój much przysiadły

— Dam cztery tysiące.
Pomyślałem: „Liczy za kilogram żywego jak za kilogram naliłszego gatunku końskiego mięsa. Dureń, jak Boga kocham, dureń!”

Chłop przyjął ofiarowaną sumę z takim spokojem, jakby to wcale nie dotyczyło jego siwka. Nadal zajmował się koniem. Ostrożnie ufnął brzeg szmaty przykrywającej kark koński.

Spód szmaty odsłoniła się czesłowo zastrzępiona rana. Trzymając jedną ręką uniesiony brzeg szmaty, druga delikatnie naciskała okolice rany.

Przeł grzbięt koński przebiegł dreszcz, siwek wykręcił głowę i patrzył wyklupastym okiem na swego pana.

— A no już przestała ciec, już osycha — powiedział głośno.

Ręka powędrowała głębiej pod płachtę.

Siwkowi wolno marszczyły się wargi, odsłaniały się zęby żółte i o nieregularnej linii.

— To ile wreszcie chcesz pan za tę padlinę? Dostaniesz konia więcej aniżeli ja daje? Ile więcej? — denerwował się kolega.

Wiedziałem, że cały ten targ będzie zaprzeczony, przyjaciel stracił zupełnie poczucie rzeczywistości i jakby znalazł się znów w swoim gabinecie dyrektorskim.

Do stojącego obok kasztana podszedł właściciel, wolno odwiązywał lejcę, po chwili spytał: — A jak tam z waszym siwkim sąsiedzie?

— Ano, widzicie sami przecie. Powolotku.

Sasiad wprowadził swego kasztana i siwek nagle w zwolnionej i powiększonej przestrzeni zyskiwał. Wprawdzie jego kopyta nie lśniły, ale nie były również przerosnięte tak jak u kasztana, tylko możliwie jeszcze gładkie i z nastrzeżoną sierścią u nasady. Boki wprawdzie siwka nie były gładkie, okrągłe, raczej już ciążły ku dołowi, mimo to owe solaszczenie nie razło.

Zachęcałem szepem: — Nie strać twojej dobrej szansy. Dorzuć jeszcze pare setek, tysiąc nawet. Przygwoźdź chłopca — bronilem podstępnie już tylko siebie i siwka. Po dłuższym patrzaniu na siwka oswajałem się ze starymi jego wadami. Wydawał mi się nawet zupełnie możliwym.

Chłop tymczasem odwiązał lejcę z

Batalistka, czyli spektakularny obraz walki, towarzyszy sztuce chyba od jej początków. Prehistoryczne malowidła w grotach Hiszpanii i rysunki naskalne w górach północnej Afryki, eposy Homera, Wergiliusza, Ariosta, Tassa, Mickiewicza, zajazd w Panu Tadeuszu, powieści Kraszewskiego i Sienkiewicza, opowieści i powieści łącznie z pamiętkami dotyczącymi obu wojen światowych... Zwrócono uwagę na to, że w sporcie więcej jest elementów walki niż w walce elementów sportu.

Film, choć wytworzył własny arsenał środków wyrazu i technikę odtwarzania świata, na szeroką skalę wykorzystywał doświadczenia literackie i przeniósł na własny teren obrazowe koncepcje literatury. Powieści historyczna stała się szczególnie wdzianym materiałem adaptacji i ekranizacji.

Batalistka z wielu powodów stała się nader podatnym składnikiem utworów fabularnych — literatury i filmu. Batalistka, czyli obraz bezpośrednich zmagających jednostek i grup ludzkich, w ostatnich dziesięcioleciach również urządzeń kierowanych przez człowieka (samoloty, czołgi, działa), w literaturze i w filmie działa na odbiorcę ze szczególną siłą dzięki maksymalnemu dynamizmowi, grze z niebezpieczeństwem, wyekspozowaniu człowieka w działaniu w zasadzie ponad ludzką miarę, a w każdym razie ponad miarę widza czy czytelnika.

Pamiętać trzeba o tym, że literackie ujęcie batalistki zależy od kilku przesłanek, przede wszystkim zaś od koncepcji dzieła literackiego, sposobu rozumienia poezji człowieka w procesach historycznych, od założeń pomiaru celu i sensu działań ludzkich. Przez długie wieki za praworem eposów antycznych (czyli „poziwej doskonałości” — perfecta poesis) batalistka w poematach heroicznych o poetyce wypracowanej do najdrobniejszych szczegółów pełni bardzo określone funkcje. Generalnie rzecz

JAN TRZYNADŁOWSKI

BATALISTKA W FILMIE I LITERATURZE

biorąc jest ona dynamicznym wektorem akcji, przy tym zaś ma na celu zademonstrowanie wielkości bohaterów działających (stad właśnie pochodzi określenie „bohater”). Postaci działające nie stają się wielkimi w toku akcji, one są wielkie od początku, a akcja — właśnie przede wszystkim batalistka — ma jedynie tę wielkość ujawnić. Można zatem powiedzieć, że optyczna, niejako instrumentalna postać batalistki epickiej, mimo swej formalnej autonomii i pełnej sprawności poetyckiej jest wyrazem czegoś głębszego, tkwiącego w warstwach ideowych dzieła.

Ta zasada eposu przetrwała faktycznie do XIX wieku, właśnie w poezji, podczas gdy proza literacka oscyłała między prawdą a myśleniem, operując manierą „nieprawego narratora”. Rejestracja faktów górowała nad ich interpretacją, stad wymowa historycznych narracji nie jest tak wyrazista.

Batalistka Pana Tadeusza to bardzo pouczająca synteza romantyczna zamykająca wielokrotnie dzieło tego zjawiska. Z jednej strony jest to klasycznie dokładne powtórzenie dawnego heroicznego wzorca z jego głębszym sensem myślowym, z drugiej zaś — panoramą wyidealizowanej, choć przedstawionej z uśmiechem

rzeczywistości odchodzącej w przeszłość. Zajazdowa bitwa w całej swej spektakularnej dokładności i plastyce to składnik eposu heroicznego, lecz także celowa kompozycja militarna „kraju lat dziecinnych”.

Przełomu w sfunkcjonalizowaniu obrazu batalistycznego dokonał H. Sienkiewicz, któremu patronował Walter Scott. Ale Sienkiewicz to uczeń, który przewyższył mistrza, przede wszystkim w Trylogii. Tu batalistka to szczęśliwe z artystycznego punktu widzenia połączenie tradycji antycznego eposu, ujęć romantycznych pełnych ekspresji oraz sugestii romansu realistycznego zmierzającego ku ukazaniu tzw. prawdy historycznej. Jeśli się weźmie pod uwagę podstawową funkcję dzieła piśnianego „ku pokrzepieniu serc”, jasne się stanie, że wszystkie tam przedstawione perypetie mają osiągnąć coś więcej niż wywołanie samego dreszczu doznawanej przygody. Wielowarstwowa, złożona konstrukcja sienkiewiczowskiej batalistki musi być interpretowana w jej rozmiarach głębszych sensów, aniżeli jako sama w sobie „bawiąca rozmałość” (varietas delectat).

Po Sienkiewiczu powieści historyczna znalazła się u nas w wyraźnym odwrócić; z jednej strony można było zauważyć powtórzenie dalszych

tradycji literackich, z drugiej zaś próby filozoficznej lub socjologicznej interpretacji historii. Z biegiem lat w to miejsce przysła „literatura faktu” opowieści historyczna, powieści biograficzna, pamiętnik, wspomnienie, wreszcie reportaż.

Biorąc pod uwagę kategorię sytuacji strategicznej w utworach o „nasyconiu batalistycznym”, można je w wysokim stopniu określić znanymi pojęciami układów filmowych: strategia reprodukcyjna, kreacyjna i montażowa. W dziele literackim, ale również i w plastycznym, w to miejsce wstawiać można takie kategorie, jak naśladownictwo (mimesis), pomysł własny (conceptio) oraz wyjaśnienia (interpretatio). W tych właśnie kategoriach mieści się funkcjonalna zasada batalistki literackiej i poprzez tę zasadę należy ją odczytywać.

W filmie batalistycznym nakładają się na siebie trzy warstwy „fotomorficzne”: substancjalna (czyli to, „co” reżyser faktycznie pokazuje czy demonstruje), instrumentalna (czyli „jak” działa pokazany mechanizm), wreszcie funkcjonalna (czyli „do czego” zmierzają skonstruowany system całościowo skomponowanych obrazów). Batalistka filmowa, a zatem obrazowa, substancjalnie przybiera również trojaką postać: militarną, przygodową oraz pojedynkową (indywidualną).

Właściwość militarna (wojskowa, wojenna) działa przez reprezentację: bohaterowie „zastępują” społeczność: przygodowa (kryminalna, podróźnicza, przygodowa) działa jako postępowanie według pewnych reguł „gry”, pojedynkowa (np. western) zasada się na zaakceptowanym przez odbiorcę mechanizmie zasad, postaw i konwencji moralnych.

W tym miejscu należy zauważyć, że owa substancjonalność, „pojedynkowa” bywa postawą działań układów dramatycznych, o wysokim stopniu konfliktowości (np. w filmie *Romans Teresy Hennert!*). Prowadzi to do stwierdzenia bardziej ogólne-

go, mianowicie, że społecznie i psychologicznie zdynamizowana teoria walki leży u podstaw bardzo wielu konstrukcji fabularnych, bynajmniej nie militarnych, lecz zasadających się na dramatycznych racjach kłótnych i sprzecznych. Rzecz jednak w tym, by sama substancjonalność nie zmajoryzowała składników instrumentalnych, przede wszystkim zaś funkcjonalnych.

Batalistka sensu stricto, szczególnie obrazowa, oddziałuje na odbiorcę swym autonomicznym dynamizmem, w czym leży poważne niebezpieczeństwo czystego sformalizowania, zmechanizowania. Można to bardzo często zaobserwować w wielu filmach, gdzie biegi, ucieczki, pościgi, konie padające wraz z jeźdźcami stają się wartością samą dla siebie. Wyeksponowanie elementów instrumentalnych i funkcjonalnych, przy dużej sprawności substancjalnej umożliwia twórcę filmu wygranie różnorodnych efektów: indywidualizmu, emocji, symboli, zaangażowania, identyfikacji, rywalizacji, sublimacji. A jednak nader często czysta substancja przytłacza resztę. Gdyby wziąć pod uwagę dwa filmy „z kregu walki”, lecz z rozmaitych poetyk batalistycznych w szerokim tego słowa znaczeniu, można wymienić obra- zy doskonale łączące w jedną strukturę wszystkie trzy wymienione składniki: są to — *Pancernik Patiomkin* oraz *W samo południe*.

Podane tu uwagi miały na celu pokazanie, iż batalistka (w literaturze i w filmie), traktowana jako konflikt spektakularny, winna być rozumiana i interpretowana nie tylko powierzchownie, lecz przede wszystkim głęboko.

Fragmety referatu prof. dr Jana Trzynadłowskiego, z Uniwersytetu Wrocławskiego, wygłoszonego na III Obornickich Spotkaniach Filmowo-Literackich.

Drugie wydanie „Kilka imion miłości” Macieja Józefa Kononowicza skłoniło mnie do ponownej lektury w celu zweryfikowania wrażeń wyrażonych w pierwszym jej czytaniu. Ponieważ wiele epizodów dobrze utrwaliło mi się w pamięci, trudno zatem o taką samą świeżość doznań, jak to miało miejsce w trakcie pierwotnego pochłaniania tych stron. Mimo to i teraz tę książkę przeżyłem, pozostając pod niezatartym urkiem jej języka, kompozycji, subtelnej kreski portretów psychologicznych. Wprawdzie autor poszerzył tę edycję o kilka rozdziałów, utrzymane jednak zostały w poetyce pierwszego wydania. Nowe rozdziały natomiast wystraszają wymową ideową, powiedziałabym, że stawiają przysłowiową kropkę nad „i”: niedopowiedzenia w pierwszym wydaniu stanowiły istotny walor estetyczny „Kilka imion...”, obecnie jednoznaczność ideowo moralna osłabia siłę ekspresji artystycznej.

Jest to opowieść o Łodzi lat międzywojennych, opowieść autobiograficzna. Główny wątek reminiscencji osnuty został wokół przeżyć autora związanych z edukacją w murach Gimnazjum Zgromadzenia Kupców i Przemysłowców oraz Gimnazjum Miejskiego im. J. Piłsudskiego. Doświadczenia wyrażone z tych szkół pozwoliły bohaterowi — narratorowi zapoznać się z całym przekrojem społecznym ówczesnej Łodzi, miasta — mozaiki narodowościowo-wyznaniowej i jednocześnie ogniskowej

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

OPOWIEŚĆ O ŁODZI MIEDZY WOJNAMI

wszystkich ważniejszych problemów społeczno-politycznych Drugiej Rzeczypospolitej.

Książka składa się z trzydziestu jeden miniaturowych rozdziałów powiązanych losami bohatera, przy czym każdy z nich tworzy również odrębną całość, bowiem poświęcony jest osobnemu problemowi, przedstawia jedną grupę społeczną, sytuację itp. Intencje autora — tak mniemam — szły w kierunku otworzenia niepowtarzalnej atmosfery tamtych lat i przeżyć młodzieńczych. I to udało mu się w pełni zrealizować. Klimat ów stwarza nadzwyczaj urozmaiconą warstwę stylistyczno-językową. Mają tu miejsce wyrażenia żargonowe i volapuki, i poetyckie opisy nadziemskich stron, a także szarych ulic łódzkich, które wcale nie są tak szare dla młodzieńca wciągającego się w nurt życia wielkomiejskiego. Zadzi-

wiająca jest precyzja w odtwarzaniu szczegółów, epizodów na pozór białych, a w gruncie rzeczy decydujących w kształtowaniu profilu etycznego bohatera. Znajdziemy tu opisy witraży sklepowych i podwórek, nawet szyldów i guzików; opisy drobiazgowo, ale zwięźle, robione jakby szkicowo i w pośpiechu. W pewnym momencie czytelnik może być zdezorientowany: czyżby chodziło tylko o szczegóły, drobne epizody, imponderabilia? Dopiero gdy odczytny na bok przeczytana książkę i poczytny ją przemyślać, wówczas zacznie wyłaniać się nam nader barwna mozaika, złożona z tysięcy różnokolorowych kamyczków. Tak więc rzeczona mozaika narodowo-społeczno-wyznaniowej odpowiada mozaice w sferze poetyki.

Zastrzeżenia natomiast kierowałbym pod adresem koncepcji bohatera,

uczniaka szkoły średniej, który od świata więcej bierze, aniżeli daje. To oczywiste. Początkowo jest on zdezorientowany, przypatruje się; rewolucję wewnętrzną przechodzi po przejściu do Gimnazjum Miejskiego, gdzie spotyka się z młodzieżą pochodzenia proletariackiego i z elementem rdzennie polskim. Tu też zaczyna być bardziej wyczulony na sprawy społeczne i polityczne. Ta szkoła jest więc i szkołą życia; panuje w niej atmosfera tolerancji, kładzie się duży nacisk na samokształcenie, dzięki czemu owocuje talentami. Ale nasz bohater w zasadzie nie błądzi, mimo iż wiek jego upragnia nawet do pomyłek i zwątpień. Jest zbyt jednolity, niemal instynktownie unika zła, które może być udziałem innych, byle nie jego. Wprawdzie autor postępuje się tu całym arsenalem środków służących przekonaniu czytelnika co do postępowania bohatera, czyni to umiejętnie i sugestywnie, tak że mankament ów może stać się niezauważalnym. Rzecz to w zasadzie sporna, zważywszy jakie treści niosą ze sobą elementy moralistyczno-dydaktyczne. Miłość, poczucie godności osobistej, honor, głęboki patriotyzm składają się na portret wewnętrzny bohatera. Te uczucia, zachowania i postawy starano się w pewnym okresie zdyskredytować, a i teraz można zauważyć tendencje relatywizowania kryteriów moralnych i świadomego „mydlenia oczu”, zatem istnieje potrzeba mówienia o najlepszych polskich tradycjach, o cnotach,

które podnoszą zwykłą ludzką godność. Rzecz w tym jednak, jak to zostało zrobione. Otóż walka dobrego ze złem dzieje się właściwie na zewnątrz bohatera. On wybiera zawsze dobro. Nie błądzi więc, idzie prosto drogą wytyczoną przez protoplastów, niewątpliwie uczciwych i szlachetnych. Tym sposobem Kononowicz zniwelował przewodnie napięcia dramatyczne i w gruncie rzeczy otrzymujemy książkę impresjonistyczną, ale nie impresyjną. Cały jej koloryt, wspaniała краса objawia się, gdy patrzymy przymrużonym okiem na gęsto obok siebie, jakby mimowolnie rzucane plamy. Taka jest już natura wspomnień i takie są rytmy pamięci. A nie sposób przecież wkomponować w delikatne impresjonistyczne powietrze wewnętrzne, ekspresjonistyczne rozdarce duszy.

Mimo to, moim zdaniem, usterki uważam „Kilka imion miłości” za najlepszą książkę w dorobku prozatorskim Kononowicza. Dzięki niej możemy przeżyć ponownie własną miłość w całej gamie wrażliwości, możemy poznać Łódź zupełnie inną niż w książkach Kosiałowicza, Bartkiewicza, Reymonta, Łódź, która jest przedmiotem wielkiej miłości, wielkiej dlatego, że trudnej.

M. J. Kononowicz, *Kilka imion miłości*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1978, s. 154.

Nie tak dawno na półkach księgarskich ukazało się dziewięć z kolei wydanie książki Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”. Druk tej książki ukończono w maju 1978 roku, a prof. Aleksander Kamiński zmarł 15 marca tego roku w Warszawie. Zatem wydanie jego najbardziej poczytnej książki jest już wydaniem pośmiertnym. Śmierć Autora jest bolesną stratą dla polskiej nauki, kultury i życia społecznego.

Krąg zainteresowań Aleksandra Kamińskiego był niezmiernie szeroki. Z jego naukowego dorobku korzystali wszyscy, którzy pracowali z młodzieżą w harcerstwie, spółdzielniach uczniowskich, samorządach szkolnych, którzy działali w stowarzyszeniach społecznych, kierowali opieką nad ludźmi starszymi, poszukiwali rozwiązań problemów czasu wewnętrznego. Aleksander Kamiński poświęcił pięćdziesiąt lat swego życia pracy naukowej, działalności społecznej i pedagogicznej. Był profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, kierownikiem Zakładu Pedagogiki Społecznej w Instytucie Pedagogiki i Psychologii tej uczelni, komendantem Szkoły Instruktorskiej ZHP w Górkach Wielkich, współorganizatorem „Szarych Szeregów”, komendantem głównym Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”. Obok tego był członkiem Związku Literatów Polskich, Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, wiceprezesa Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej, członkiem Ko-

JADWIGA JANICKA

WIELKI UCZONY I SPOŁECZNIK

mitetu Nauk Pedagogicznych i Psychologicznych PAN i współpracownikiem Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych oraz Państwowego Wydawnictwa „Iskry”. Był autorem przeszło trzydziestu prac naukowych z dziedziny pedagogiki społecznej, specjalistycznej pracy poświęconej Jaświntom oraz dwóch powieści: „Kamienie na szaniec” i „Zośka” i „Parasol”. Do wyczerpania pełnej listy jego działalności i zasług jest jeszcze bardzo daleko.

Aleksander Kamiński był mocno związany z Łodzią. Jej oddał ponad połowę swej półwiecznej działalności naukowej i społecznej. Zaraz po wyzwoleniu, w maju 1945 roku, rozpoczął pracę na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Pedagogiki Społecznej, którą kierowała wówczas prof. Helena Radlińska, twórczyni polskiej szkoły pedagogiki społecznej. Można sądzić, że zainteresowania pedagogiką społeczną wiązały się z jego pasją

działacza społecznego, niezwykle wrażliwego na sprawy ludzi potrzebujących pomocy. Pedagogika społeczna była jednak dla Niego tą swoją dyscypliną naukową, która interesuje się nade wszystko tymi składnikami otaczającej nas rzeczywistości, które — jak pisał A. Kamiński — warunkują sytuację jednostek, grup i społeczności wymagających społecznej pomocy i opieki, bez czego nie byłby możliwy ich pomysłowy rozwój rzeczowy, psychiczny i kulturalny.”

W okresie kierowania Zakładem Pedagogiki Społecznej prof. A. Kamiński opiekował się 72 pracami magistralskimi, pod jego kierunkiem powstało 10 prac doktorskich i 2 habilitacyjne. Przeważającą ilość prac badawczych pracownicy Zakładu przeprowadzili w Łodzi, ponieważ Profesor żywo interesował się doniosłymi zmianami zachodzącymi w tym mieście i zawsze analizował zja-

wiska i przemiany zachodzące w życiu społecznym. Między innymi, dzięki badaniom przeprowadzonym pod kierunkiem prof. A. Kamińskiego można było naukowo udowodnić jak korzystnie rozwijała się w naszej obecnej rzeczywistości najbardziej zaniedbana dzielnica Łodzi — Bałuty. Już pierwsza praca magisterska, napisana pod Jego kierunkiem, dotyczyła społecznych przyczyn niepowodzeń szkolnych baluckich dzieci. Ta tematyka, w latach 1960—62 odpowiadała ówczesnemu zapotrzebowaniu polityki oświatowej w Polsce Ludowej.

O głębokim zaangażowaniu prof. A. Kamińskiego w pracy na rzecz środowiska łódzkiego świadczą także i inne badania prowadzone przez studentów, pozostających pod Jego opieką. Objęto nimi najrozmaitsze dziedziny życia społecznego, różne placówki społeczno-wychowawcze, różnorodne sytuacje grup społecznych. Między innymi, na Chojnach zbadano środowisko życia nieletnich przestępców, w klinice i Szpitalu dla Nerwowej i Psychicznie Chorych „Kochanówka” przeprowadzono badania dotyczące roli asystenta społecznego w lecznictwie psychiatrycznym, a na przykładzie Zakładu Poprawczego w Ignaciewie k Łodzi w sposób naukowy zapoznano się z organizacją zakładu poprawczego z punktu widzenia efektywnej reedukacji nieletnich. Inne badania dotyczyły planowania rodziny w świetle opinii pacjentek Poradni Świadczenia Macierzyństwa,

a jeszcze inne sytuacji dziecka w wieku szkolnym w rodzinach zastępczych w jednej z dzielnic Łodzi. Z przeglądu prac magisterskich, prowadzonych pod kierunkiem Profesora, doczekały się naukowych opracowań różne problemy naszego miasta, a między innymi takie, jak: czas wolny młodzieży szkolnej i studenckiej, resocjalizacja młodzieży niedostosowanej społecznie, funkcja wczasowa Pałacu Młodzieży, kolonie letnie dzieci łódzkich i szereg innych.

Prof. A. Kamiński był inicjatorem uruchomienia w 1967 roku Państwowej Szkoły Pracowników Społecznych w Łodzi, która jest dwuletnią pomaturalną szkołą zawodową, przygotowującą kwalifikowanych pracowników społecznych. On też był twórcą programu nauczania w tej szkole. Pod redakcją Aleksandra Kamińskiego wydano zbiór rozpraw z zakresu pedagogiki społecznej, zamieszczony w XVI tomie Studiów Pedagogicznych. Wszystkie one są tematycznie związane z Łodzią.

W ciągu 28 lat żył i działał wśród nas Człowiek, o którym prof. Jan Szczepański powiedział: „Jego dążenia i prace leżą na tej samej linii poczynają, jaka dziś jest wycieczna polityki państwa: budować społeczeństwo, w którym będzie dobrze żyć, gdzie potrzeby ludzkie będą na pierwszym planie, a całość będzie silna bogactwem każdej osobowości. W realizację takiej wizji dobrego społeczeństwa A. Kamiński wniósł wkład istotny”.

JAK INACZEJ UCZYĆ ZAWODU?

— Dzieci, które w bieżącym roku rozpoczęły naukę w pierwszej klasie zreformowanej szkoły dziesięcioletniej, będą uczyły się już zawodu „po nowemu”. Za kilka lat reforma edukacji narodowej obejmie bowiem także szkolnictwo zawodowe. Już dziś władze oświatowe i nauczyciele intensywnie przygotowują się do jej wprowadzenia. O głównych zadaniach szkoły zawodowej lat dziesięcioletniej oraz o przebiegu przygotowań do reformy w województwie łódzkim rozmawiamy z koordynatorem Zespołu Wizytatorów Metodyk Przedmiotów Zawodowych Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi starszym wizytatorem mgr inż. JANUSZEM MOOSEM.

— Panie wizytatorze, kogo zamierzacie wykształcić w nowej szkole zawodowej?

— Ludzi w pełni przygotowanych do czekających ich zadań w zakładzie pracy, dobrych fachowców, odpowiedzialnych obywateli.

— Takie cele stawiano szkołom zawodowym od początku Istnienia Polski Ludowej...

— Tylko pozornie były one takie same. Wraz ze zmieniającymi się warunkami społeczno-gospodarczymi, rozwojem mechanizacji, automatyzacji, postępowaniem naukowo-technicznym, co innego niż dotychczas mamy na myśli mówiąc o potrzebie dobrego przygotowania do zawodu. Nie chodzi nam teraz o to, by absolwent opanował do perfekcji obsługę jednej maszyny, ponieważ — być może — z chwilą rozpoczęcia pracy w zakładzie produkcyjnym, a za kilka lub kilkanaście lat na pewno, przyjdzie mu pracować przy zupełnie innych maszynach korzystając z innych narzędzi i materiałów oraz zupełnie nowych informacji. Już dziś w nowoczesnym przemyśle obserwujemy postępującą intelektualizację czynności na każdym stanowisku. Choć trudno jeszcze precyzyjnie określić zmiany jakie nastąpią w XXI wieku, gdy nasz absolwent będzie w pełni aktywny zawodowo, to jednak już teraz trzeba go przygotować do tych zmian. Dlatego głównym naszym celem jest zapewnienie uczniowi szerokiego podstawy ogólnej wiedzy zawodowej, możliwie najbardziej przydatnej do przyszłych specjalizacji, wyrobienie takiego układu umiejętności, który pozwoli mu przystosować się do zastanych warunków pracy oraz wytworzenie gotowości do stałego dokształcania się w toku działalności zawodowej, a nawet — w razie potrzeby — przekwalifikowania się na specjalność pokrewną. Kształcenie zgodne z tymi celami nazywamy szerokokoprowalnym. Trzy lata temu wprowadzono je po raz pierwszy w 53 polskich szkołach zawodowych. Dotychczasowych 80 wariantów specjalności zastąpiono czterdziestoma łącząc do siebie zawody w jeden.

— Obawiam się, czy w praktyce realizacja tak ambitnych celów nie doprowadzi do wykształcenia robotników i techników, którzy bez dodatkowych kursów nie poradzą sobie na żadnym konkretnym stanowisku pracy.

— Aby zapobiec tej sytuacji, przewidujemy trzy formy zajęć bezpo-

średnio przygotowujących uczniów do wykonywania zawodu. Są to zajęcia praktyczne w warsztatach szkolnych, dwie praktyki w zakładach pracy oraz tzw. zajęcia specjalizujące.

— Czym różnią się między sobą te formy?

— Zajęcia praktyczne w warsztatach szkolnych mają zapoznać uczniów z podstawami zawodu. Podczas praktyk zawodowych uczniowie występują w podobnej roli jak etatowi pracownicy zakładu. Dzięki temu już u progu swej edukacji w szkole zawodowej poznają organizację produkcji, problemy załóg robotniczych, życie zakładu przemysłowego. Druga praktyka odbywa się pod koniec nauki i ma za zadanie zapoznać młodzież z technologią produkcji w danym zakładzie. Zapewnia nowością są „zajęcia specjalizujące” mające na celu przygotowanie uczniów do wykonania wybranych czynności w ramach wyuczonego zawodu oraz wyposażenie ich w zespół takich wiadomości i umiejętności, jakie są konieczne z punktu widzenia potrzeb przedsiębiorstwa danego regionu. Zajęcia te będą miały charakter szkolenia praktycznego łączonego z instruktorem teoretycznym. Ich prowadzenie będzie wymagało ścisłego współdziałania nauczycieli i specjalistów z zakładów pracy.

— Jeżeli dobrze rozumiem, w nowym modelu szkolnictwa zawodowego przeważają nie jedynie zajęcia teoretyczne, ale i umiejętności praktyczne, nie zaniedbując przy tym kształcenia społecznego i sprawnościowego. Zakłada się więc osiągnięcie znacznie większych efektów bez wydłużenia czasu nauki. Wierzy Pan, że to się uda?

— Tak. Wbrew pozorom, nowe programy nie są obszerniejsze od poprzednich. Wręcz przeciwnie — w programie każdego przedmiotu udało się wygospodarować i pozostawić do dyspozycji nauczyciela od dziesięciu do piętnastu procent ogólnej liczby godzin na wprowadzenie treści aktualnych wynikających z najnowszych

osiągnięć naukowo-technicznych. — Trudno w to uwierzyć. Skoro z kilku specjalności utworzono jedną, wiec jeden uczeń musi posiadać wiedzę która dotychczas przekazywano równoległe adeptom kilku różnych zawodów. Nawet, jeśli uwzględnimy fakt, że pewne partie materiału powtarzały się w każdej z połączonych specjalności, to i tak suma obecnie wymaganej wiedzy jest większa. Pana stwierdzenie o możliwości wygospodarowania czasu brzmi w tym kontekście nienawdopodobnie.

— Przy opracowaniu programów nauczania przedmiotów zawodowych dla potrzeb kształcenia szerokokoprowalnego dokonano nie tylko połączenia specjalności i zawodów, ale również wielu przedmiotów. No, w miejsce nauczanych dotychczas oddzielnie „podstaw elektrotechniki”, „podstaw elektroniki”, „podstaw automatyki” itp. wprowadzono został jeden przedmiot tzw. zintegrowany o nazwie „podstaw elektrotechniki, elektroniki i automatyki”. Pozwoliło to wyeliminować nieuniknione dotychczas powtórzenia tych samych treści w różnych przedmiotach, uzyskać pełną korelację przekazywanej wiedzy, zunifikować środki dydaktyczne, a także zmniejszyć liczbę tytułów podręczników. Wprowadzenie przedmiotów zintegrowanych oraz wyeliminowanie z programów treści przestarzałych bądź mało istotnych z punktu widzenia nowych celów kształcenia zawodowego, umożliwiło uzyskanie takich oszczędności czasu, o których wspominałem wcześniej.

— Panie wizytatorze, historia szkolnictwa uczy, że zdarzały się przypadki przejścia do realizacji programów nauczania, które, choć opracowane przez najlepszych specjalistów, w praktyce nie spełniały wielu oczekiwań. Co robi się teraz, aby ryzyko nienowoczesności zmniejszyć do minimum?

— Przede wszystkim zerwano z anonimowością osób opracowujących programy. Projekty, które obecnie sprawdzamy w szkołach, są zaopiniowane w imienny wykaz ich autorów oraz recenzentów. Autorami są po raz pierwszy nauczyciele-praktycy, a współautorami fachowcy z zakładów przemysłowych. Jest to nowość na skalę europejską. Projekty przygotowane przez nauczycieli poddano pod dyskusję, a następnie przedstawiono opiniodawcom — metodnikom przedmiotowym, naukowcom, specjalistom z przemysłu, dyrektorom szkół, przedstawicielom władz oświatowych.

Oczywiście, nawet najlepszy zespół opiniodawczy nie jest w stanie przewidzieć wszystkich niespodzianek, jakie występują podczas praktycznej realizacji nowych programów. Dlatego już teraz sprawdzamy funkcjonowanie przyjętych projektów w szkołach. W województwie łódzkim prowadzone jest w ośmiu szkołach zawodowych. Są to zespoły nr 1: elektrycznych, energetycznych nr 1, mechanicznych nr 1, chemicznych, gastronomicznych wólcienickich nr 1, spożywczych oraz Zasadnicza Szkoła Mechaniczna nr 1.

— Dla Kuratorium Oświaty i Wychowania szkoły te są teraz zapewne „oczkiem w głowie”.

— Nie jest to tylko jednostronne zainteresowanie, lecz bliska, codzienna i wzajemna współpraca przyjmująca bardzo różne formy. Wszyscy nauczyciele realizujący kształcenie szerokokoprowalnego otrzymali m. u. szczegółowe rozkłady materiału z wyborem treści programowych przeznaczonych na daną jednostkę lekcyjną, proponowaną podstawową metodą nauczania, zestawem zaleca-

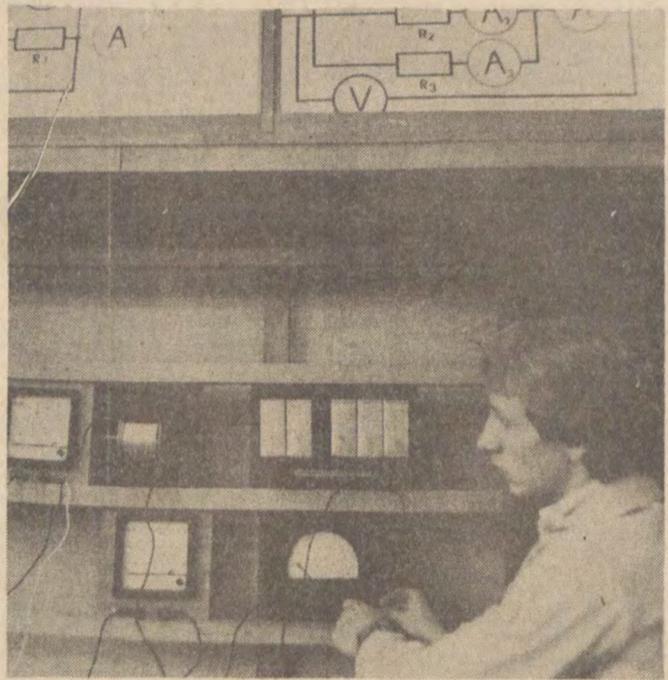


Foto: W. Parys

nych środków dydaktycznych oraz wykazem wiadomości i umiejętności, które uczeń powinien opanować.

— Dostarczanie uszczegółowionych rozkładów nauczania nie jest zapewne jedyną formą współpracy Kuratorium Oświaty i Wychowania z nauczycielami szkół zawodowych realizującymi kształcenie szerokokoprowalnego.

— Oczywiście. Każda z wymienionych ośmiu szkół ma wyznaczonego opiekuna — wizytatora metodyka, specjaliste od danej grupy przedmiotów zawodowych. Opiekun ten jest bezpośrednim łącznikiem między szkołą i Kuratorium. We wszystkich „szkołach szerokokoprowalnych” zmodernizowano bazy techniczne tak, by można było nauczać w nich przedmiotów zintegrowanych. Przy Kuratorium powstał też Nauczycielski Zespół Postępu Pedagogicznego. To właśnie w tym zespole nauczyciele, przy współpracy z wizytatorem — metodykami przedmiotów zawodowych przygotowują wspomniane już wcześniej szczegółowe rozkłady materiału, a również bardzo ważne dla nas testy osiągnięć szkolnych z poszczególnych przedmiotów, propozycje tematów prac dyplomowych, scenariusze i konspekty lekcji trudnych dla ucznia oraz wiele innych materiałów i wskazówek metodycznych.

— Dlaczego testy osiągnięć szkolnych uważa Pan za tak potrzebne?

— Gdy pomagają one ocenić wyniki naszej pracy. Dobrze przygotowany i przeprowadzony test pozwala nam porównać poziom wiadomości i umiejętności osiągnięty przez ucznia z założonym oraz wychwytywać najistotniejsze różnice. Znając wszystkie „słabe punkty” procesu dydaktycznego możemy znaleźć przyczyny trudności uczniów i zastanowić się nad ich usunięciem. Czasami wystarczą wzbogacić środki dydaktyczne, zmienić stosowane metody nauczania lub scenariusz lekcji. Czasem jednak konieczna jest modyfikacja programu, a nawet planu nauczania. Tak rozumiany system kształcenia cybernetyczny nazywamy samosterywnym. Oznacza to że wstępne weryfikacje

umożliwiają dokonanie takich zmian elementów układu, by uzyskać wyniki zgodne z założeniami.

— Stosujemy też wywiady z nauczycielami i uczniami, arkusze obserwacyjne, a także różne sprawdzaki badające m. in. zdolność stosowania nabytych wiadomości i umiejętności w sytuacjach typowych oraz nowych — problemowych.

— Aby system był — jak Pan powiedział — samosterywny, musi być w pełni sprawne wszystkie kanały przepływu informacji. Nie jestem pewien czy słuszne wnioski i postulaty nauczycieli i metodyków zostaną uwzględnione przez jednostki zatwierdzające do realizacji ostateczną wersję programów.

— Obawy takie są nieuzasadnione, gdyż wyniki naszych badań efektywności kształcenia wraz z kołowym wnioskami przesyłamy systematycznie do Instytutu Kształcenia Zawodowego. Jest to wyspecjalizowana jednostka badawcza Ministerstwa Oświaty i Wychowania czuwająca nad stroną merytoryczną przygotowania do reformy szkolnictwa zawodowego. Specjaliści z IKZ dysponują kompletem materiałów i wniosków napływających z całego kraju. Postulaty kontrowersyjne poddaje się pod dyskusję na seminariach i sympozjach specjalistycznych. Ostateczne decyzje zapada więc po przeprowadzeniu gruntownej analizy wszystkich wniosków i propozycji.

— O ile mi wiadomo, działania Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi na rzecz kształcenia szerokokoprowalnego — zarówno stworzenie właściwych warunków organizacyjnych jak i nadzór merytoryczny nad jego wdrażaniem — zostały bardzo wysoko ocenione przez Instytut Kształcenia Zawodowego...

— Równie ważne jest duże zaangażowanie osobiste nauczycieli i dyrektorów „szkół szerokokoprowalnych”, ich zapał, pracowitość i zdolność.

Rozmawiał: PAWEŁ PATORA

CIĘŻKIE ŻYCIE MAŁEGO WYTWÓRCY

Dalszy ciąg ze str. 1

rych produkcja uzupełnia to, co robi przemysł wielki. Jest to zasada aż nadto oczywista. Ale też w dość złożonej i nie najłatwiejszej sytuacji przemysłu, kiedy nie dostaje wielu surowców i materiałów, kiedy dostawy tych surowców i materiałów są nierytmiczne, w przemyśle drobnym, u drobnych producentów, jak w soczewce skupiają się wszystkie kłopoty, ujawniając się niekiedy w karykaturalnych rozmiarach.

Do handlu meblami potrzeba sklepów o wielkiej powierzchni. I im jest ich więcej, tym jest lepiej, choć zdawałoby się, że jak na razie nie ma czym handlować. Próbowano jednak w nowych osiedlach wystawiać meble w normalnych mieszkaniach, aby pokazać przyszłemu nabywcy, jak to wygląda we wnętrzu. Klientowi bowiem nie zawsze staje wyobraźni i woli sobie przypasować mebel do swego „M” — ileś tam”. A że owe „M” są typowe, więc przakonuje się na takiej „domowej” wystawie, jak to w „jego” wnętrzu wygląda „PUMESTOL” takiej możli-

wości nie ma. Swoją rynkową produkcję eksponuje w małym lokalu przy ul. Andrzeja, między ulicą Piotrkowską a Alejami Kosciuszki. Ale to nie jest nawet ćwierćśrodka, nie jest to żadna reklama. Ot, takie małe „okienko”.

„PUMESTOL” oferuje lokatorom nowych mieszkań szafy do wszelkich wnęk, produkowane według obowiązujących w budownictwie norm. Czyli każdy posiadacz nie zabudowanej wnęki może sobie kupić w „PUMESTOL-u” właściwą szafę. „PUMESTOL” korzysta tu z pośrednictwa i pomocy spółdzielczości mieszkaniowej i z tym nie ma większych kłopotów. Żeby tylko można było tyle produkować, ile ludzie potrzebują. A z tym właśnie są kłopoty.

Na czym te kłopoty polegają? Składają się one z trzech części. Pierwsza — to ludzie. Druga — to materiały, surowce, okucia. Trzecia — to narzędzia.

Kiedy jeszcze „PUMESTOL” był w przemyśle terenowym, istniał projekt rozbudowy, postawienia nowych zakładów, wyposażenia ich w bardziej nowoczesny sprzęt. Ale prze-

mysl terenowy licho wzięło i przy okazji zabrało wszelkie plany, które z myślą o rozwoju tego przemysłu opracowano, zatwierdzono i kierowano do realizacji. „PUMESTOL” stracił szansę na rozbudowę, bo spółdzielczość ma przecież inną pulę finansową i sama musi troszczyć się o swoje środki na inwestycje.

Wielki przemysł troszczy się o kadre dla siebie, prowadzi również własne szkolnictwo. Drobni wytwórcy są skazani na dopływ fachowców ze szkolnictwa zawodowego, które kształci w zawodzie, a nie z myślą o konkretnym zakładzie, w którym przyszły absolwent będzie pracował, nie o konkretnych zadaniach zawodowych, które mu przyjdzie wykonywać, a które mogą być nietypowe. Produkcję przeznaczoną na rynek, czyli do sklepów meblowych można w „PUMESTOL-u” robić taśmowo. Zamówienia indywidualne robi się metodami rzemieślniczymi i nie każdy już dziś to potrafi. A dobry fachowcy nie zawsze chcą pracować w spółdzielni, gdzie jest dłużenie a rekompensata mniejsza niż w wielkiej wytwórni za masówkę.

Wiadomo, że nie dysponujemy nadmiarem wielu surowców i materiałów. Niektóre materiały dzieli się centralnie i spółdzielczość jest w tym rozdzelniku na ostatniej pozycji. Niewykonanie planu w spółdzielni, czy nawet kilka dni przestoju, kiedy robotnicy nie mają co robić, przynosi mniejsze straty gospodarcze niż takie same zjawiska występujące u dużych producentów. A poza tym — sądzi się — że spółdzielczość sobie

jakoś w swej diubanie poradzi. I radzi, choć nie zawsze skutecznie.

Na ogół na wszelkie zamówienia na materiały i surowce składane przez „PUMESTOL” przychodzi odpowiedź potwierdzająca te zamówienia w trzech czwartych, w połowie lub tylko w czwartej części ich wysokości. Ostatnio na przykład brakowało lakierów. Nierytmicznie przychodzą dostawy płyt wszelkiego rodzaju przeznaczonych na meble, okładziny, okucia. Producent lakierów — fabryki w Dębicy i Wrocławiu — na zamówienie wynoszące np. 10 ton daje 8, a na 5 ton — daje 3. Zresztą z powodów podobnych Łódzkie Fabryki Mebli, choć nie wykonały planu produkcji w pierwszym półroczu, to w lipcu puściły całą załogę na trzytygodniowy urlop, bo nie było z czego robić. Producent płyt w Wieruszowie i Grajewie mieli kłopoty z jakością.

Nierytmiczne dostawy iamią wszelką organizację pracy, powodują przestoje, utrudniają wprowadzanie postępu technicznego. W usługach sprowadza się to do tego, że jeśli zamówiony mebel nie jest gotowy na czas określony w umowie z klientem, to wytwórca pobiera o 1 procent dziennie mniej od sumy, jaką miał zapłacić klient. To też nie jest zjawisko, które wpływa korzystnie na samopoczucie załogi, kiedy widzi, że jej praca traci na wartości.

Swego czasu narzędzia dla stolarzy robili wyspecjalizowani rzemieślnicy. Ale wtedy i produkcja była prostsza, nie było różnych laminowanych płyt, okładzin, folii, mniej

było w stolarstwie chemii. Dziś sytuacja wygląda inaczej. Dziś potrzeba już — obok narzędzi tradycyjnych — narzędzi specjalistycznych, przygotowanych do cięcia różnych powlekanych materiałów, płyt. I takich narzędzi brakuje. Można byłoby je wprowadzić sprowadzić z zagranicy, ale potrzeba na ten cel dewiz, których spółdzielczość nie posiada i z którymi w ogóle nie jest przecież najlepiej.

„PUMESTOL” posiada kilka zakładów, w których robi meble przeznaczony do sklepów i te, na indywidualne zamówienie. Zakłady te są rozmieszczone przypadkowo, a powinny być w sposób systematyczny, po jednym przynajmniej w każdej dzielnicy, z punktami usługowymi w nowych osiedlach. Jak na razie nie ma na to widoków. Wybudowano wprawdzie na Retkini nowy zakład dla „PUMESTOL-u”, ale brakuje w nim urządzeń odpływających i zakład stoi sobie bezczynny. A poza wszystkim „PUMESTOL” nie posiada własnego transportu i ma wielkie kłopoty nie tylko z wożeniem własnych materiałów i surowców, ale też z dowożeniem zamówionych i zrobionych w zakładach mebli do klienta.

Ciężkie jest życie małego wytwórcy. A przecież jest potrzebny. Mało tego, jest niezbędny. I można tylko wierzyć, że w miarę usuwania trudności i przeszkód w rozwoju wielkich producentów mebli, co musi stać się nieuchronnie, poprawi się też życie małych wytwórców. To również jest nieuchronne.

BOGDA MADEJ

OD INTEGRACJI DO PREZENTACJI

Po trzyletniej przerwie, w nowej formule odżył wrocławski Międzynarodowy Festiwal Teatru Otwartego, tym razem pod poszerzoną nazwą: MIĘDZYKRAJOWE SPOTKANIA TEATRU I SZTUKI OTWARTEJ. Cała impreza została pomyślana z wielkim rozmachem, w trzech etapach, realizowanych w ciągu osiemnastu dni.

Etap pierwszy, pod nazwą INTEGRACJA, miał miejsce w Oleśnicy, przenosząc na dziesięć dni Mekkę Teatru Otwartego z Wrocławia do małego, dolnośląskiego miasteczka. Nie uczestniczyłem w tym etapie, więc pozwolę sobie tylko na przedstawienie garści relacji pochodzących z drugiej ręki — biuletynów informacyjnych i naocznych świadków.

Nad całym tym etapem (podobnie jak nad kolejnymi) dominowały: deszcz i chłód, a ponieważ oleśnickie Integracje zaplanowano głównie z myślą o akcjach plenerowych, licząc na tradycyjną złotą, polską jesień, działania integracyjne nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Organizatorzy zaprosili do Oleśnicy kilkanaście zespołów teatralnych, w części zrzeszonych w Międzynarodowej Federacji Teatrów Niezależnych (FIT) i kilkudziesięciu młodych twórców oraz grup artystycznych, reprezentujących różne dziedziny sztuki. Kryterium zaproszenia do oleśnickich Integracji stanowiła otwarta postawa twórcza oraz kontaktywność i społeczny charakter środków wyrazu i metod działania.

W ciągu dziesięciu dni Integracji, odbywanych w życzliwej atmosferze miejscowej społeczności, na uczestników nie nakładano z góry żadnych obowiązków. Czas ten został wypełniony działaniami i inicjatywami zmierzającymi do wzajemnego poznania. Wymiana informacji następowała podczas różnorodnych akcji artystycznych o charakterze parateatralnym. Część z nich adresowana była tylko do uczestników spotkań, większość jednak zmierzała do nawiązywania kontaktów z mieszkańcami Oleśnicy (co największą frajdę sprawiało miejscowej dzieciarni), realizując dwa z dwudziestu jeden PRZEKONAŃ SZTUKI OTWARTEJ, zaplanowanych przez Bogusława Litwińca w roku 1975, i do dziś stanowiących „świętą księgę” Teatru Otwartego, a mianowicie:

1. „SZTUKA OTWARTA startuje z pozycji człowieka zbiorowego, który będąc „procesem swolch czynów”, osiąga pełnię dopiero w społecznym działaniu.

2. „SZTUKA OTWARTA uskrzydla się nadzieją na międzyludzką solidarność i wychodzi poza samotny heroizm oraz egocentryczne ocalenie”. Będąc wierną tym postulatów Sztuka Otwarta w oleśnickim mityngu odzignęła się od form elitarnego obrzędu dla wtajemniczonych.

Szeroko pojmowana Integracja miała doprowadzić do Kooperacji, a rezultaty tej drugiej postanowiono ujawnić publicznie już we Wrocławiu.

Biuletyny oleśnickie obfitują w rozmaitość pomysłów, propozycji i programów plenerowych akcji kooperacyjnych, po części realizowanych przez międzynarodowe kolektywy i indywidualnych artystów otwartych. Jak się okazało, w wielkim trudzie międzynarodowych trustów mózgow

wymyślanych działań kooperacyjnych, nie zawsze dawały spodziewane efekty. Wydaje się, że rozminął się w wielu wypadkach trud teoretycznego wymyślania idei i dopasowywania do nich działań i sytuacji, przesyceni filozoficzną refleksją, ze zwykłym i czytelnym sposobem porozumiewania się między ludźmi. W sposób lapidarny ilustruje ten stan rzeczy mini-recenzja z drugiego numeru Biuletynu Prezentacji:

„Z ogromnym wysiłkiem zespołów kooperujących i kilku dobrowolców budowano zdarzenie wielkie jak parostatek. I cała para poszła w gwizdek. Zapowiadało się przyjazdem dziesięciu ciężarówek coś ciekawego i wspólnego. Wyszedł z tego składanka i to w większości nudna. Najgorzej przedstawił się Teatr 9 prezentujący straszne męki Prometeusza. Dożycie dla nieśmiertelnych jest szczególnie uciążliwe”.

A może część najlepszych kooperacyjnych przedsięwzięć zatkniętą uporczywy jesienią deszcz?

Wszystko zapowiadało (a szczególnie fama), że się przetrze i rozjaśni, gdy znacznie funkcjonować trzeci człon Festiwalu, czyli Prezentacja. Festiwalowy plakat, przedstawiający podzielonego na trzy części prajaszczura, którego łeb z szyć to Integracja, tułów — Kooperacja, a odwłok z ogonem — Prezentacja. Spod tego ogona z impetem wypada ogromne jajo, z którego pękniętej skorupy wypływa gesta ciecz żółta. Tyle plakat. Wszystkim, którzy przynęśli do Wrocławia wędrowni pragnieniem świeżego pokarmu, wspomniane żółtko, stanowiące symboliczne jądro Prezentacji, zapachniało zleżałym, przeterminowanym jajem. I nagle okazało się (co było do przewidzenia), że nasz własny młody teatr stanowi o jego najcenniejszych wartościach. Dowiodły tego swymi prezentacjami: Łódzki Teatr 77, lubelska Scena Plastyczna Leszka Mądziaka z nową, wspaniałą „wizją” z pogranicza teatru i plastyki pt. „Wilgoć”, czy warszawska Akademia Ruchu.

Odstał trochę od tej grupy wrocławski Teatr Kalambur, kontynuujący, tak kiedyś wspaniałą, a dziś tracący myślną, nurt teatru poezji, rodem ze wspaniałego niegdyś widowiska poetyckiego, do wierszy Urzuli Kozioł, — „W rytmie słonca”. Dziś niestety pozostał już tylko rodowód.

Teatr STU nie przedstawił festiwalowej publiczności dwu zaplanowanych spektakli („Pacjenci” i „Operetka”), gdyż w trakcie stawiania

rozciął się maszt namiotu, w którym Teatr STU przedstawia „A szkoda. Nie znam co prawda „Operetki” w inscenizacji K. Jasńskiego, lecz wystarczyliby sami „Pacjenci” dla podsycecia niezbyt rozbuchanego, festiwalowego ognia.

Ogółem w Prezentacji wzięło udział 17 teatrów, dając 60 przedstawień dla około 20 tysięcy widzów. Gdy do tego dodać 35 imprez towarzyszących, otrzymamy względnie obiektywny obraz rozmiarów osmiomiesięcznego maratonu. Względnie obiektywny dlatego, że nikt nie jest w stanie zliczyć wszystkiego, co działo się spontanicznie w pomieszczeniach centrum festiwalowego w Pałacyku, gdzie nie starczało urzwy, ścian i tablic ogłoszeń dla ciągle pojawiających się informacji i komunikatów o wydarzeniach „trzeciego nurtu” festiwalu, którego to nurtu otwartość mogła być jedynie niezaprzeczana.

Aby jednak nie zagubić się w tej masie, pozostaną tylko przy trzonie prezentacji, do którego dostęp stanowiły bilety a' 50 zł, miejsce. Miejsca tych też często nie starczało, co prowadziło w najlepszym wypadku do siedzenia komuś na głowie lub stania na czymś odcisku, a w wypadkach skrajnych do wpuszczania na spektakl grupy lepiej usytuowanej przy wejściu. W tych sytuacjach budziła podziw niezłomna postawa Nestorki polskiej krytyki teatralnej — Maril Bechzyce-Rudnickiej.

W sferze formalnej można by wyróżnić trzy zasadnicze nurty Prezentacji:

- cyrkowo-jarmarczny,
- „realizm świetlicowy”,
- wieloetapowa awangardowość.

Bardzo słabo był reprezentowany nurt teatru poetyckiego (nie można mylić z teatrem poezji), w którym, na dobrą sprawę, jedynym liczącym się reprezentantem pozostała Scena Plastyczna z Lublina.

Nurt pierwszy cieszył się największym powodzeniem. Wzbudzał niekłamana radość i spontaniczne owacje, a DIVADLO NA PROVAZKU z Brna, ze swoimi wspaniałymi „blazenadami” w stylu commedia dell'arte, pobilo rekordy powodzenia. Lider tego zespołu, Bolesław Polivka, aktor o ogromnych umiejętnościach technicznych i sile komicznej, stał się ulubieńcem festiwalowej publiczności.

Drugą barwną i wspaniałą zabawną postacią stanowił niezapomniany Szalony Jakub z zespołu COMEDIANTS z Barcelony, z rozpostartymi rękami szubujący nad widownią Teatru Polskiego.

Komedianci stanowili niezaprzeczalną siłę Festiwalu i tworzyli jego atmosferę. Ożywiali ulice i place. Wciągali do swych barwnych pochodów przypadkowych przechodniów, lub w pojedynkę, jak Orlando Munoz z Kolumbii, gromadzili wokół siebie ulicznych ciekawskich, zachęcając do wspólnej, teatralnej zabawy.

Nurt drugi przypomniał nam okres dobrze znany, kiedy to teatr amatorski pełnił funkcje agitatorskie, a miejskie zespoły teatralne żywo uczestniczyły w akcji łączności miasta ze wsią. Widz nasz, odwykły już od amatorsko pojmowanej poetyki realizmu komponowanego, opuszczał tryzmiennie — czasem nawet nie przyzwyczajony — sale. Aż przykro, że dwu i pół godzinny „wodevil” pt. „Paszyty”, przywieziony z Aten przez Teatr Keksarianis, oglądało pod koniec kilkanaście zmęczonych osób. Tyle trudu, — bogate kostiumy, pełna charakterystyka, poszło na marne. A przecież zespół ten niewątpliwie spełnia ważną funkcję na przedmieściach Aten i na greckiej prowincji. Podobnie niestrawne dla naszej, roz-



DIVADLO NA PROVAZKU z Brna (na pierwszym planie B. Polivka — gwiazda Festiwalu). Foto: B. Szubza

smakowanej już bądź co bądź, publiczności, było realistyczne, amatorskie przedstawienie „Matki” Gorkiego w wykonaniu hiszpańskiego zespołu GRUPO INTERNACIONAL DE TEATRO, którego znaczenia dla współczesnej, plebejskiej kultury w Hiszpanii, nie można negować.

Zupełnym nieporozumieniem okazał się — z niecierpliwością oczekiwanym — występ japońskiego zespołu KOKUSAI SEINEN ENGEKI CENTER, przedstawianego jako grupa złożona z młodych reżyserów, aktorów i dramaturgów, którzy zebrali się z zamiarem realizowania nowych, eksperymentalnych przedstawień. Oczekiwano tajemniczego podmuchu kultury dalekiego wschodu, a tymczasem spektakl Japończyków okazał się naiwną bajeczką, skonstruowaną przy pomocy konwencjonalnych, europejskich środków wyrazu.

Jeśli jeszcze jesteśmy w stanie zrozumieć zaproszenie na wrocławski festiwal „Matki” w wykonaniu Hiszpanów, czy amerykańskiego zespołu ESPERANZA, walczącego o prawa dla meksykańskich chłopów pracujących w południowych stanach USA (tzw. Chicanos), to obecność zespołu japońskiego czy greckiego „wodevilistów” pozostaje zupełnie zagadką. W tym wypadku jesteśmy świadkami często występującego procesu, w którym ilość zabija jakość. Pozostaje więc nadzieja, wzbudzana przez niestrudzonego propagatora Sztuki Otwartej, Bogusława Litwińca, który na ostatniej konferencji prasowej, złożył gorące przyrzeczenie poprawy, zapowiadając na kolejnym Festiwalu (za dwa lata) nie więcej jak dziesięć starannie dobranych zespołów teatralnych.

Należy koniecznie kilka słów poświęcić nurtowi trzeciemu, który wy-

magałby osobnego, wnikliwego omówienia, w nim bowiem mieszczą się w zasadzie prawie wszystkie zespoły polskie. Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że w tej grupie najczęściej występuje podział na zespoły profesjonalne, półprofesjonalne i — w dobrym tego słowa znaczeniu — amatorskie. Różnice są tu płynne, a granice zarte. Poziom w zasadzie bardzo wyrównany, a profesjonalność wynika nie tylko z faktu, że większość tych grup po prostu żyje z teatru, lecz również prezentuje bardzo wysoki stopień umiejętności i przygotowania zawodowego. Można tu wymienić tak wspaniale operujące warsztatem teatralnym zespoły zawodowe, jak: CENTRE DRAMATIQUE DE LA COURNEUVE z Paryża, angielski TRIPLE ACTION THEATRE, czy COMUNA BAIRES z Mediolanu, a obok niezwykle sprawny zespół STU-DIA „K” z Budapesztu nie posiadające statusu zawodowego.

Teatry te posługują się tak różnorodnym tworzywem literackim (od Szekspira zaprezentowanego w sposób bardzo wolny przez Anglików przez Büchnera w Studio „K” do współczesnej poezji lub tekstu będącego wynikiem „krajczy zbiorowej”) i tak różnie stosowanym arsenałem środków współczesnego teatru (np. Anglicy z TAT-u jawnie odwołują się do doświadczeń Jerzego Grotowskiego), że właściwie więcej je dzieli niż łączy, a zaszerzowanie w jednej grupie wynika raczej z potrzeby zaznaczenia ich na ogólnym tle wrocławskiej imprezy, która, mimo przepłatających ją blasków i cieni, zalicza się do bardziej znaczących wydarzeń artystycznych (a jeszcze bardziej potrzebnych) nie tylko w skali naszego kraju.

WACŁAW PAWLAK

JÓZEFA TEKSLA SPOTKANIA Z ŁÓDZIĄ

W księdze dziejów sceny polskiej w Łodzi złotymi zgłoskami zapisał się doskonały aktor i zasłużony dyrektor teatrów objazdowych Józef Teksel. Urodzony w Łomży w 1839 roku, mając lat osiemnaście wstąpił do trupy wędrowniej Pawła Ratajewicza. Później kilka sezonów spędził na wędrowce w zespole Anastażego Trapszy, gdzie grywał przeważnie role amantów i komiczne. Dyrektor Trapszo rychło docenił nie tylko artystyczne, ale i organizatorskie zdolności młodego aktora, powierzając mu kierownictwo artystyczne swojej trupy.

Pierwsze zetknięcie się Józefa Teksla z Łodzią nastąpiło w 1867 r. Wtedy to zespół Trapszy, w którym Teksel od niedawna występował, w drodze z Piotrkowa Trybunalskiego do Kalisza zawitał na krótko do naszego miasta. Warto dodać, że w

łódzkich przedstawieniach brał również udział późniejszy znakomity gwiazdor sceny polskiej — Bolesław Leszczyński.

W 1872 roku Józef Teksel zorganizował własne towarzystwo dramatyczne, do którego ściągnął prawie

wszystkich najlepszych aktorów prowincjonalnych. Trupa Teksla występowała ze znacznym powodzeniem w wielu miastach na prowincji, a między innymi i w Łodzi w latach 1873 i 1875. Sukcesy sceniczne Teksla wynikały z umiejętnej doboru repertuaru. Orientował się on doskonale w upodobaniach publiczności i woderował jej głównie operetki i wodevile, to jest gatunek sceniczny, który w owym czasie przeżywał swój rozkwit.

W ustawicznych wояżach do kraju Teksel często zawadzał o Łódź. Jego zdaniem, wśród miast prowincjonalnych Łódź miała najlepsze warunki dla zorganizowania stałego teatru. Cały szkodził w tym, że w mieście nie było dotąd budynku odnowiadającego potrzebom takiego teatru. Scena i widownia w teatrze Fryderyka Sellina przedstawiały bowiem w tym względzie wiele do życzenia.

Wkrótce jednak właśnie z inicjatywy Teksla Łódź otrzymała teatr z prawdziwego zdarzenia. Zbudował go w 1877 roku Wilhelm Kern przy ul. Piotrkowskiej nr 67. Front posesji już od roku zajmował dwubietrowy hotel „Victoria”. Na jej tyłach stał murywany budynek teatru. Kern oddał go w dzierżawę Tekselowi.

Uroczyste otwarcie teatru nastąpiło 2 października 1877 roku. Władnie ozdobiono podziemiemi Moniuszki, Słowackiego, Schillera i Mo-

zarta. Przedstawienia inauguracyjną operę Stanisława Dunieckiego „Paziołowie królowej Marysieńki”. W tronie Teksla występowały dobre sily aktorskie, m.in. Rufin Morozowicz, Wacław Prohaska, Wanda Manowska, Józefa i Czesława Czapskie, Franciszek Walliszewski, Ignacy Kalcicki. Zespół za zgodą publiczności przyjął nazwę Teatru Łódzkiego. Już jednak w lutym 1878 roku trupa Teksla opuściła Łódź, udając się na występy do wielu miast Królestwa Polskiego.

Teksel nie zrezygnował wszakże z myśli prowadzenia stałego teatru w Łodzi. Na początku grudnia 1878 r. objął ponownie dyrekcję Teatru Łódzkiego. W tym czasie do spółki z Ludwikiem Stumpfem nabył posesję Kerna wraz z ruchomościami teatru i hotelu za sumę 85.000 rubli. Nowi właściciele przebudowali teatr i zaprowadzili w nim oświetlenie gazowe. Zespół Teksla został powiększony do 25 aktorów i 22 aktorek.

Teksel był współwłaścicielem teatru „Victoria” przez trzy i pół roku. Początkowo frekwencja widzów była znaczna i impreza zapowiadała się pomyślnie. Teksel na utrzymanie teatru nie żałował oszczędności, z trudem uzbieranych w czasie wieloletniej pracy. Niestety zainteresowanie nowym teatrem wkrótce zmalało, zespół nie otrzymał pomocy ani ze strony społeczeństwa, ani władz. Teksel, zagrożony ruiną materialną,

rezygnował z dalszego prowadzenia teatru, odstąpił Stumpfowi swe prawa do posesji za 35.000 rubli i udał się ze swoim zespołem na wędrowkę do kraju.

Płynęły lata ożywionej działalności Teksla na terenie Królestwa, a nawet poza jego granicami — na Śląsku i w Rosji. Pomimo gorzkich doświadczeń, jakich doznał na gruncie łódzkim, nie zapomniał o naszym mieście i zawsze chętnie zajeżdżał do Łodzi ze swoim zespołem. Przewyższał tu w latach 1885—1888 z przerwami w okresie letnim. Wreszcie zmęczony niełatwą pracą w wędrownym zespole, rozwiązał swa trupe i w 1890 roku osiadł na stałe w Łodzi. Powrócił do teatru „Victoria”, do swojej „starej budy”, ale już tylko w charakterze kasjera. Na scenie występował w tym okresie tylko sporadycznie. Ostatni raz zagrał w grudniu 1897 roku na jubileusz czterdziestolecia swej pracy aktorskiej.

W marcu 1899 roku Teksel spróbował jeszcze raz swoich umiejętności reżyserskich, kierując przedstawieniami amatorskimi na Księży Młynie. W 1903 roku prowadził teatr ludowy, występujący w okresie lata w parku Źródlika. Ostatnie lata swego życia spędził w niedostatku. Inicjator pierwszego stałego teatru w Łodzi zmarł w 1904 roku. Mogiła jego znajduje się na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej.

NIEGDYSIEJSZE ŚNIEGI

Istnienie kinematografii angielskiej stało się w ostatnich latach kwestią dyskusyjną. Producenci filmów nad Tamizą jest znacznie tańsze niż nad brzegami Pacyfiku i zaczęli w brytyjski przemysł filmowy angażować swe kapitały co doprowadziło do standaryzacji i komercjalizacji angielskiego kina, a także zatarły jego artystyczne swoistości. Za pieniądze poszli ludzie: reżyserzy, scenarzyści, aktorzy.

Symptomy tego procesu były widoczne dość wyraźnie w filmach, które złożyły się na Przegląd Filmów Brytyjskich „zaliczony” ostatnio przez łódzkie kinomanów. Na sześć filmów składających się na tę imprezę aż dwa, czyli, było nie było, jedna trzecia została podpisana przez reżyserów spoza Wielkiej Brytanii. Tylko raz na ekranie pojawił się charakterystyczny znak firmowy Arthura Ranka, producenta, który założył podwaliny powojennego imperium filmowego w Anglii.

Wybór filmów składających się na przegląd był dość przypadkowy: wyrwany z aktualnego kontekstu angielskiej produkcji stanowił dobrą reprezentację współczesnego stanu tamtejszego kina. Wątki czysto angielskie związane ze specyfiką społeczną i moralno-etyczną tego kraju od lat pozostającego bastionem z trudem kruszonego konserwalizmu podświadomie trzymał „Barry Lyndon” Kubricka. Stanleya „Wiek niewinności” Alana Bridgisa i „Uroczystość” Lindsaya Andersona wskrzeszały sentymenty związane z okresem burzy i naporu angielskiego filmu z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Było to przysłowiowe „pięć minut” kinematografii angielskiej, okres prymatu w skali światowej. Młodzi Angliści, którym przewodzili Tony Richardson, Jack Clayton, Lindsay Anderson, Karel Reisz i John Schlesinger stworzyli filmy szalenie agresywne, wymierzone w „Old England” i jej zastępy układy społeczne. Jednakże ten akt gniewnego buntu nie zdołał zakłócić dobrego samopoczucia establishmentu, a buntownicy niebawem bezsilnie opuścili ręce albo wręcz przeszli na stronę wczorajszego wroga. Co dziś pozostało z tamtych uniesień i namieszkań? Wraca do nich wyraźnie Lindsay Anderson wraz z Davidem Storeyem w „Uroczystości”. Obaj twórcy pozostali wierni młodzieńczemu buntowi. „Uroczystość” stanowi bezpośrednie nawiązanie do tematyki, motywów i stylizacji tamtej epoki, co jest pewnym krokiem wstecz w twórczości Andersona. Ten dramat rodzinny, w którym na uroczystości małżeńskiego jubileuszu dochodzi do ujawnienia wzajemnych urazów, kompleksów, odrzucenia pozorów i krachu moralnych ideałów, otóż ta historia pokazana dzisiaj brzmi już anachronicznie, jak głos z odległej dawno przeszłości w kinie epoki. To właśnie pogłębia formę filmu, na której silnie zaciążył teatralny pierwowzór, powstały w 1966 roku dramat Storeya „Jubileusz”.

Stanley Kubrick nigdy nie był związany z kręgiem społecznych obsesji Free Cinema, jednakże jego „Barry Lyndon”, który był osobą przeglądu można z łatwością ustawić w pobliżu tego nurtu. Kubrick sięgnął po zapomnianą powieść Williama Thackeraya „Wspomnienia Barry Lyndona”, którą z wielkim pietyzmem przełożył na taśmę majestatycznie rozwijających się przed widzem obrazów nawiązującego do malarstwa opisywanej epoki, dzieł Constable’a, Hogartha, Gainsbrougha. Ten paradzie malarstwa, która jeden z krytyków porównał do spaceru przez Galerię Narodową towarzyszy wspaniała, nasycona ironicznym dystansem do przedstawianych zdarzeń narracja słowna. Z pełnej niebawem przegród historii życia tytułowego bohatera powoli i dyskretnie wykiwła się refleksja nad ludzkim losem i jego społecznymi determinantami. Barry Lyndon, parweniuteń usiłujący sforsować ariстокratskie progi poprzez małżeństwo wraca do swego plebejskiego przeznaczenia zrujnowany duchowo i materialnie. Jest to wszakże przesłanie dość banalne, film imponuje przede wszystkim sensuinalna uroda barokowej inscenizacji, a nie intelektualna głębia.

„Wiek niewinności” film Alana Bridgisa, autora pamiętnego „Najemnika” dotyczy historii najnowszej, okresu tuż po I wojnie światowej. Bridgisa jest obok Kennetha Loacha subtelnym kontynuatorem gniewnych, lecz interesujących bardziej wymiar psychologicznych społecznych konfliktów, bardziej przypomina Loseya niżeli Richardsona. „Wiek niewinności” to tytuł jawnie ironiczny, film jest bowiem analiza symptomów upadku ery wiktoriańskiej, rezerwu na najbardziej smiertelnych anachronizmów obyczajowych, z których nieoczekiwanie wynurzają się zbrodnicze instynkty. Film bodaj najciekawszy z całego przeglądu, wnikliwy i delikatny zarazem.

Na pozostała reszta składają się filmy jawnie komercyjne bądź też maskujące pozorami głębi intencje merkantylne. Natomiast dużym rozczarowaniem okazał się osławiony „Wrzask” Jerzego Skolimowskiego, film nie wiadomo dlaczego nagrodzony w Cannes Srebrną Palmą. Skolimowski pragnął stworzyć parapsychologiczny horror, ale ta opowieść o człowieku, który zabijał głosem grzeszy naiwnością pomysłową, a rekwizyty, których reżyser używa wywołują uśmiech zażenowania. Słowem — niełatwo być Polakiem.

A zatem na przeglądzie brytyjskim rewelacji nie było. Angliści potwierdzili tajemnicę Poliszynela: pod niebem Albionu w filmie nie się nie dzieje. Angielska pogoda, dżdżysta i mglista wyraźnie nie sprzyja sztuce, która powstaje w słońcu.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



Kadr z filmu „Partyzanci kolei”

MARIA KORNATOWSKA

UPROSZCZONY ŚWIAT CHIŃSKIEGO KINA

Revolucja kulturalna w sposób radykalny, jak przystało każdej rewolucji, zaważyła na rozwoju kinematografii chińskiej. Zakwestionowano dotychczasowe sposoby realizacji i postawy twórcze. Kino miało się odstać stać narzędziem propagandy i edukacji społeczno-politycznej w służbie ludu, a ściślej mówiąc — armii. Odrzucono wszelkie indywidualne aspiracje artystyczne, zredukowano do koniecznego minimum rolę i znaczenie reżysera. Dzieło filmowe stało się produktem kolektywnego wysiłku całej ekipy, nie wyłączając statystów i personelu technicznego. Zbiorowo układano scenariusze, każdy miał pełne prawo ingerować w proces twórczy, współdecydować o kształcie dzieła. W realizacji filmów uczestniczyli również czynnie załogi fabryk zwalniane w tym celu w godzinach pracy — nieważne bowiem, gdzie się w danym momencie służy Sprawie, ważne, by Jej zawsze i wszędzie służył.

Pospolu ze wstępnym indywidualizmem artystów potępiono także indywidualizm w konstruowaniu fabuły i bohaterów. Bohaterem winna być zbiorowość, jednostka zaś stanowi jedynie jej cząstkę bezwzględnie podporządkowaną nadrzędnym celom kolektywu. Psychologię postaci uznano za burżuazyjny przeżytek, a system Stanislawskiego, wykładany przedtem w szkołach aktorskich, określono jak „arszenik dla studentów”, arsenik zatrujący duszę ludu, bowiem propagujący fałszywą ideę „natury ludzkiej”, „odwiecznych” konfliktów, ucząc i przeżył. W roku 1969 na łamach czasopisma „Czerwony Sztandar” ukazał się podpisany przez Cuię Klong-keu gromki artykuł atakujący zajadłe rzeczonego system Stanislawskiego, który „z całym swoim bagażem ideologicznym i warsztatowym stanowi przejaw dążeń do pokojowej ewolucji, wiąże się ściśle z reakcyjnym sposobem myślenia i zmierza do przywrócenia kapitalizmu w Chinach”.

Baza techniczna kinematografii została wówczas w znacznej mierze zdewastowana. Odsunięto od pracy większość reżyserów, operatorów i aktorów, pozabawiono kinematografię chińską kontaktów z resztą świata, zamykając ją w kręgu kompletnej izolacji. Nic tedy dziwnego, że w takich warunkach i atmosferze produkcja filmowa zmniejszała się z każdym rokiem. Nie dysponujemy żadnymi danymi statystycznymi, które pozwalałyby określić stan kina w owych latach. Chińczycy danych takich nie podają do publicznej wiadomości, utrzymując nawet, że w okresie rządów „bandy czworga” nie produkowano w ogóle filmów fabularnych. Skądinąd (m.in. z autorytatywnych wypowiedzi zagranicznych realizatorów i krytyków) wiadomo wszakże, że filmy fabularne powstawały, choć w ograniczonej ilości.

Upadek „bandy czworga” położył kres najbardziej drastycznym przejawom rewolucji kulturalnej. Nowa ekipa rządząca zdążyła sobie sprawę z katastrofalnych skutków prowadzonej dotąd absurdałnej i destruktywnej polityki kulturalnej. Odpowiedzialnością za owe skutki obarczono oczywiście demoniczną „bandę czworga” i poczyniono pierwsze kroki zmierzające do przywrócenia nauce i sztuce określonej roli w życiu społecznym. W lutym 1978 roku wznowiono klasyczny repertuar opery pekińskiej, przywrócono do łask wielu „potępionych” z woli armii i ludu” uczonych, pisarzy i artystów. Otwarto podwoje uniwersytetów i przeprowadzono pierwszą od lat rekrutację na wyższe uczelnie. Zainwestowano poważne sumy w odbudowę kina.

brzmiała: ależ to jasne! Jakże filmy zagraniczne sprowadza się do Chin? — takie, które podobają się ludowi chińskiemu. Czy rozwija się twórczość eksperymentalna? — filmy realizowane w Chinach służą wyłącznie ludowi.

Produkcja najnowsza nie różni się wiele od twórczości sprzed epoki rewolucji kulturalnej. Poprawiła się jedynie strona techniczna: jakoś tamśy i zdjęć. Pojawily się jako element ozdobny oleodrukowe obrazki zachodów i wschodów słońca, etudy pejzażowe, uważane ponoć dawnymi czasy za objaw wstępnictwa i antyrewolucyjnego pacyfizmu, za narzędzie rozmiękania dusz wojowników Sprawy.

Film chiński operuje na ogół zaskakującym stopem hurrarewolucyjnego patosu i melodramatycznej ckliwości made in Hollywood lat trzydziestych. Wpływy myślenia już dziś tracących chwytów amerykańskiego kina, są zaskakujące. Propagandowy, tendencyjny charakter produkcji filmowej nie ulega żadnej wątpliwości. Idea nadrzędna, jakiej służy, to idea walki i całkowitego podporządkowania losów jednostki zadaniom tej walki. Bohaterowie nie odczuwają nawet potrzeby życia osobistego, sensem ich istnienia jest służba Sprawie, wieleńia w czyn myśli przewodniczącego Mao. Nawet, jeśli popnił na tej drodze błędy, dzięki pomocy kolektywu i światłości myśli Mao zdobywają słuszną świadomość, zyskują szansę poprawy i odkupienia. Ideologia niepostrzeżenie przeobraża się w religię. W tej sytuacji śmierć nie posiada najmniejszego znaczenia. Poległych zastępują tysiące innych. Sprawa trwa i zwycięża. Film chiński lubuje się w scenach masowych. Tłumy wypełniają ekran. Najczęściej tłumy biegną do ataku, z bronią w ręku. Walczą wszyscy: dzieci, młodzież, kobiety, starcy. Być żołnierzem — to największy zaszczyt. Tytuły poszczególnych dzieł mówią za siebie. „Czerwony oddział kobiecy”, „Bohaterskie dzieci”, „Partyzanci ko-



Kadr z filmu „Pionierzy”

le”, „Chang Ka — chłopiec żołnierz”, itd.

Film współczesny właściwie nie istnieje. Jedyne przykłady — „Pływaczki” Liu Kuo-chuana opowiada historię młodej sportsmenki, która, jako że kieruje się osobistą ambicją, przegrywa decydujące zawody. Dzięki wszakże odpowiedniej edukacji politycznej pojmuje swój błąd, rezygnuje z grzesznych pragnień indywidualnych sukcesów i dopiero wówczas odnosi zwycięstwo. Trudno jednak doszukać się w „Pływaczkach” obserwacji codziennego życia, obyczajowości, itd. Nawet dokument nie przynosi informacji o rzeczywistości. Oglądamy świat preparowany, sztuczny, świat hasel, deklaracji, wznośnych gestów, patetycznych min, wyprany z realiów i prawdy dnia powszedniego.

Film chiński zastępuje realizm opisu, konwencją operowo-plakatowej proweniencji. Jeszcze drastyczniej zjawisko to występuje w filmach o tematyce wojennej, stanowiących przeważającą większość prezentowanych w Pesaro dzieł. Zapis autentycznego życia, jeden z najcenniejszych walorów sztuki filmowej, wymazany został z ekranu. Akcja toczy się od potyczki do potyczki, od zebrania do zebrania, wśród huków strzelaniny i retorycznych kwestii wygłaszanych z patetycznym uniesieniem przez aktorów, którzy nie grają, ale ciągle deklamują. Sztuczność dialogów idzie w parze z operową konwencjonalnością gry. Obowiązuje ścisły podział na czarno-białe charaktery. Pozytywnicy mają śliczne twarze, promienne uśmiechy, ratują dzieci i staruszków z najtrudniejszych opresji, nie lękają się kul i niebezpieczeństw, nie zalamują się i postępują zawsze zgodnie z duchem myśli przewodniczącego Mao.

Wróg klasowy daje się natychmiast rozpoznać po wrednej mordzie (notabene dziwnie jakos pobielonej) i chytrych oczkach. Dzieci, jak może to zabijać, a przynajmniej zdrowo tłucze. Jest tchórliwy, podły, zakłamany i podstępny. I tak np. w filmie „Straże w blasku neonów” Wang Pinga i Ko Hsina wróg usiłuje rozmięknąć duszę żołnierzy Armii Wyzwolenia muzyką jazzową, blaskiem neonów na ulicach Szanghaju, tudzież wdziękami dziewcząt z nie zawsze klasowo dobrych domów. Jeden z żołnierzy ulega chwilowo „perfumowanemu miazmatom” burżuazyjnego stylu życia, zamienia płócienną onucę na skarpety i odważa się na panienkę do kawiarni, uchybiając czujności i obowiązkom. Dzięki pomocy kolektywu wszakże pojmie swe winy, składa samokrytykę, otrzymuje przebaczenie i w dowód odzyskanego zaufania wysłany zostaje na front.

W innym filmie „Meng Lung-sha” (imię i nazwisko bohatera — dzielnego żołnierza) reżyser Wang Pinga i Yuana Hsiena kolektyw wojskowy żywi wątpliwości co do walorów żołnierskich jednego z kolegów, który stałe otrzymuje listy od żony pełne słów reakcyjnej znienoty i miłości. Na szczęście na zebraniu rzecz się wyjaśnia. Żona osiągnęła wreszcie właściwy poziom świadomości. W ostatnim liście pisze już nie o tęsknocie, ale o osiągnięciach spódmiejskiej produkcji. W filmach chińskich nie istnieje miłość, podobnie jak wszelkie inne, indywidualne, prywatne motywacje lub przeżycia. Kontakty między płciami ograniczają się do wzajemnego uświadamiania, ale wyłącznie ideologicznego. Nie istnieje także zwątpienie, rozterki, niepokoje, słabość. Wszystko, co ludzkie, staje się być im obce. Siła wojującego fanatyzmu określa wizję świata i człowieka.

Filmy wojenne traktują o wojnie z Japonią lub Kuomintangiem. Ale najczęściej z ekranu pada określenie — wróg. Brzmi to wymownie i znacząco. Świat dzieli się bowiem na żołnierzy chińskiej armii i wrogów. Wróg czai się wszędzie i należy zachowywać permanentną czujność i gotowość do walki. Czas pokoju nie jest czasem pracy i odpoczynku, ale czasem czujności, co bezspornie udowodnia film „Hai Hsia” — opowieść o wzorowo czujnej dziewczynie.

Wybujał nacjonalizm przeciawia się jakimkolwiek próbom odejścia od tradycji rozumianej w sposób dostojny i prymitywny, próbom wkroczenia na grunt doświadczeń uniwersalnych, wspólnym innym społeczeństwom. W kontekście prezentowanych w Pesaro filmów deklarowana nieustannie rewolucyjność znaczy w praktyce reakcyjny konserwatyzm, tępy opór wobec wszystkiego, co inne i nowe. Nienawidź do obcych, którzy zawsze okazują się wrogami, graniczy z rasizmem.

Artystycznie — tylko jeden film zdradzał obecność za kamerą twórcy z prawdziwego zdarzenia. Była to opowieść o „pokojowym podboju Tybetu” — „Ziemi przypisani” Li Tsuna. Schematyzm i jaskrawa tendencjonalność scenarzysty krepowały niewątpliwy talent reżysera, jego poetycką wene, umiejętność budowania głębszej i wieloznacznej metafory, bogactwo ekspresji plastycznej. Był to jedyny „prawdziwy” film przeglądu. Reszta to ruchome plakaty, agitki, w których schematyzm treści konkurował ze stereotypowością i niską jakością formy.

CZY NA ZACHODZIE SA ZMIANY?

Czy na Zachodzie bez zmian?

Raczej nie. Raczej zmiany są. I to spore. Otóż obywatele „Bundesrepublik” zdają się holdować surowym nakazom wstrzemięźliwości ogólnej. Wyżłada na to, że celibat zaczyna być nad Renem w modzie. W każdym razie na to wskazują ostatnio opublikowane dane, noszące urzędową parafę rządu bawarskiego. Dla przykładu w jednej tylko Bawarii ilość nowo zawieranych małżeństw spadła niemal o 30 procent. Ilość rozwodów podniosła się o 137 procent, a liczba nowo narodzonych dzieci spadła o 50 procent.

Te dane dla wielu są zaskakujące. W Bonn uderzono w dzwony alarmowe. Nie przypadkiem. Gdyby obecna tendencja miała się utrzymać, to ludność „Bundesrepublik” spadnie z 58 milionów, tyle liczy obecnie, do 22 milionów w roku 2070, więc za lat 100, takie prawdopodobieństwo istnieje. Celibat modny jest ogromnie w całej Republice Federalnej Niemiec. Starych kawalerów już tam cała armia. Egoizm? Oczywiście. Choć nie tylko. Być może jest to wyraz tęsknoty za całkowitą swobodą. Małżeństwo to wiesz. To obowiązki. To wielkie też i dodatkowe ciężary natury finansowej.

Na Zachodzie są zmiany.

Uwaga: Widać się coraz wyraźniej także w życiu politycznym.

Oto jedna z scen bawarskiego lasu. Na polanie rozsiadła się grupa młodych ludzi. Wszyscy z kufkami pełnego piwa w ręku. Wszyscy w uniformach. Brunatne koszulki. Czarne buty z cholewami. Opaski ze swastyką na ramieniu. To oni, zawsze ci sami. Pozdrawiają się uśmiechnięci do góry ręką. Wykrzykiują chóralnie „Heil Hitler”. Scena z jakiegoś filmu? Nie, scena z codziennego życia w bawarskich wsiach. Taka scena dość rzadko, ale dość często opisał niedawno amerykański tygodnik „Time”.

Neohitlerowcy...

Są. Istnieją. Stali się faktem, z którym liczyć się trzeba. Tworzą nawet już terrorystyczne grupy. To również fakt. To przesłanie znanego w Szwajcarii i Holandii neohitlerowca Uwe Rohvera, kupiec z zawodu, stał się przed sądem jako szef neonazistowskiej grupy terrorystycznej. Według urzędowych danych w „Bundesrepublik” działa obecnie mniej lub bardziej otwarcie 126 neohitlerowskich komórek. Żadna z nich nie liczy wprawdzie więcej niż 300 członków, ale ich obecność wywołuje się wszędzie. Często to kamufaż i nie wiadomo co jest czym. Ktoś by przypuszczał, że pod niewinną nazwą organizacji „Bürgerinitiative” kryje się najbardziej zacieklony neohitlerowcy.

Większość neohitlerowców nigdy w hitlerystyce nie miała nic wspólnego i urodziła się dopiero po wojnie.

I to jest właśnie najbardziej niepokojące. Dowodzi, że neonazizm stawia na młodzież. I często wyrywa. Wielu z nich nie jest już nawet nie kryje. Jedną z neonazistowskich organizacji zwie się w Hamburgu po prostu „Aktionsfront Nationaler Sozialisten”. To ją rozumiem. Kawa na jawie. Na razie jest nas kilkadziesiąt tysięcy, ale już jeszcze sobaczym. Hitler zaczynał z partii, która liczyła kilku a potem kilkunastu zaledwie członków. A do czego doszła.

Na Zachodzie są zmiany.

W Bawarii istnieje się przedsięwzięcie groźne wyludnienia. Wyszły nowe zarządzenia. Otóż młode małżeństwo może otrzymać pożyczkę w wysokości 5.000 marek za okazaniem świadectwa ślubu. Może też otrzymać kredyty w wysokości dalszych 5.000 marek, jeśli urodzi się dziecko. Dalej z tej sumy rodzice zatrzymują 3.500 marek, jeśli urodzi się drugie dziecko. A przy trzecim dziecku losi tytułem wsparcia i zapomogi dalsze 2.500 marek. Ładny grosz, jeśli się zna, że dwie marki to osy dolar.

Czy to decyzje poszukują?

Nie wiadomo. Czas okada. Na tym froncie coś się jednak robi. Na tym drugim froncie, neohitlerowskim, zaszła całkowita. W sensie przeciwdziałania ciska panuje tam zupełna. I w tym wypadku prawda jest niestety, że na Zachodzie bez zmian. To znaczy, jak było, tak nadal jest tam mnóstwo dobrej gleby i wiele dobrze nowych organizacji o zdecydowanie neohitlerowskim charakterze.

JAN BABIŃSKI

W projekcie budżetu na 1978 rok Urząd Badań Energetycznych i Opracowań USA ukrył przydział środków na produkcję głowic neutronowych w dziale budżetu, przewidującym asygnowanie 10 miliardów dolarów na „przeważenie robót publicznych”. Kiedy 13 lipca ub. roku prezydent Carter w swym tradycyjnym orędziu o sytuacji w kraju powiedział, iż produkcja głowic neutronowych odpowiada interesom bezpieczeństwa narodowego, to także i senat zaprobował projekt asygnowania „środków na roboty publiczne”, włączając doń paragraf dotyczący wydatków na konstrukcję głowic neutronowych.

Warto wspomnieć, iż z technicznego punktu widzenia, jak informuje amerykański dziennikarz George Kistiakowski na łamach pisma „Atlantic Monthly”, prace nad stworzeniem głowic podwyższonej radiacji zostały uwięzione powodem w 1976 r., kiedy to ówczesny prezydent USA G. Ford podpisał ściśle tajny dokument, sankcjonujący produkcję głowic neutronowych do rakiet „Lans” i wyposażenie w takie pociski również 8-calowych dział samobieżnych oraz dział 155-milimetrów. Ale jesienią ub. roku prezydent Carter odłożył podjęcie ostatecznej decyzji w sprawie rozpoczęcia produkcji głowic o podwyższonej radiacji ponieważ nie było jasne, czy europejscy sojusznicy USA w NATO życzą sobie rozmieszczenia tej broni na swoim terytorium. Teraz, mimo głoszących i zdecydowanych protestów na całym świecie, prezydent USA podjął decyzję produkcji elementów składowych broni neutronowej, a już wcześniej Senatu zaaprobował przydział środków na opracowanie tej barbarzyńskiej broni masowej zagłady.

Ponieważ pojawiające się już od ub. roku informacje o pracach prowadzonych w USA nad konstrukcją broni o podwyższonym promieniotwórczością włączają światową opinię publiczną i wywołują szeroką dyskusję, warto poświęcić omówieniu tej broni nieco więcej miejsca. Jest ona pomysiana przede wszystkim przeciwko „jednostkom pancernym” i „jednostkom rozpoznawczym” w Europie. Wodzone NATO planują, iż głowice o podwyższonej radiacji, znane pod nazwą bomby neutronowej (jest to modyfikacja bomby wodowej małej mocy), przemaszają do rakiet „Lans” oraz pociski tego typu do 8-calowych dział, będą mieć się około 1 kilotony. Podczas wybuchu tego urządzenia wyzwalają się jednocześnie energia atomowa i jądrowa, w proporcji 3:2. Ponadto neutronowe promieniowanie jest równie silne radiacji, która powstaje podczas wybuchu „zwykłego” pocisku atomowego o mocy 10 kiloton. W ten sposób strategii Pentagonu przypuszczają, iż pociski podwyższonego promieniotwórczości będą w przybliżeniu 10-krotnie bardziej efektywne, niż atomowe pociski tej samej mocy.

Wybuch głowicy bojowej o podwyższonej radiacji o mocy 1 kilotony wyzwalają promieniowanie neutronowe siejące, na terenie otwartym, 8.000 radów w promieniu 900 metrów od epicentrum eksplozji. Na mniejszych odległościach intensywność napromieniania jest oczywiście

znacznie większa (załogi czołgów chronione pancernem otrzymują w tym wypadku napromienowanie równe, w przybliżeniu, 4.000 radów). Po upływie 5 minut od momentu wybuchu porażony skład osobowy czołgów utraci jakakolwiek umiejętność wykonywania operacji wymagających wysiłku fizycznego. Chociaż po upływie pół godziny nastąpi częściowe ustanie funkcji biologicznych napromieniani będą umierać 2-3 dni. W odległości 700 metrów od epicentrum wybuchu intensywność napromieniania jest dwukrotnie wyższa, niż z odległości 900 metrów i takie napromienianie obezwładnia natychmiast i całkowicie. Agonia trwa 1-2 dni. W odległości 1.400 metrów dawka napromieniania spada do 650 radów i wywołuje zaburzenia czynnościowe na przeciąg ponad godziny, ale nieuchronnie powoduje śmierć, mniej więcej, po 2 tygodniach. W odległości 1.700 metrów od epicentrum eksplozji głowicy o podwyższonej radiacji dawka napromieniania wynosi 150 radów. W przybliżeniu 10 proc. porażonych tą dawką napromieniania neutronowego umrze w wyniku choroby

„bomb” jak rządził się wyrazić J. Schlesinger, pozwoli na uniknięcie eskalacji konfliktu jądrowego. Gabinetowi strategii w USA, już na przestrzeni wielu lat popierała ideę przejścia na taktyczne środki jądrowe dowodząc, że jeśli arsenały NATO będą składać się tylko z „mini-bomb”, to zabezpieczy to od przeskoczenia taktycznej wojny jądrowej w Europie w globalny konflikt jądrowy. W ten sposób — sadzą oni beztrako — amerykańskie terytorium zostanie odtworzone od potworów następstw takiego konfliktu (!). Słusznie więc zachodni Niemcy uczony zajmujący się problemami wojny i pokoju, Johann Haltungs, rzucił niedawno pod ocenę opinii publicznej takie pytanie: „Czy zalecałby Amerykanie użycie broni neutronowej na swoim własnym terytorium? Czy też przeznaczają ją dla ludzi drugiej katezorii, to jest dla mieszkańców zachodniej Europy?”

Mysliący przeciwnicy bomby neutronowej słusznie dowodzą, że właśnie na odwrót — podwyższy to ogólną możliwość użycia broni jądrowej, ponieważ chcąc żeby głowice podwyższonej radiacji przyniosły żądany

O PRAWO DO ŻYCIA W POKOJU

poopromienieni w przeciągu kilku miesięcy, a wśród pozostałych pojawia się częste przypadki zachorowań na raka piersi, płuc, żołądka, kruczolę tarczycy i leukemii, które mogą się rozwijać w organizmach ofiar napromieniania nawet w ciągu 20-30 lat. W odległości 2,7 kilometra od epicentrum wybuchu głowicy neutronowej dawka napromieniania spada do 15 radów, nie wywołując z reguły choroby potropniowej, chociaż w tego następstwie są możliwe zachorowania na raka różnych organów lub leukemii.

Negatywne następstwa genetyczne będą występować na przestrzeni życia kilku pokoleń, ale ich możliwość zmniejsza się wraz ze zmniejszeniem się dawki promieniotwórczości. Ale nawet z odległości 2 kilometrów napromienianie neutronowe jest niebezpieczne, ponieważ i z tej odległości neutrony wysokej energii — cała dawka napromieniania — powodują 7-krotnie większe uszkodzenia biologiczne, niż gamma promieni wyzwalanych podczas wybuchu „zwykłej” bomby atomowej.

Jest to prostu potwornością nazywać bombę neutronową „humanitarną bronią”, jak próbują to zrobić zwolennicy rozpoczęcia tej produkcji. Wszak właśnie ludność cywilna, a nie chroniona pancernem załoga czołgów oddziałów „przeciwnika”, będzie w pierwszym rzędzie porażona promienowaniem neutronowym, jeśli te „humanitarna broń” użyje się w gestu zażądanej Europy. Wojskowi przywódcy NATO, zgodnie z oświadczeniem głównodowodzącego siłami zbrojnymi NATO w Europie, amerykańskiego generała Haigsa, złożonym w senackiej komisji do spraw sił zbrojnych, „pozytywnie oceniali rozmieszczenie w Europie zachodniej głowic neutronowych podwyższonego promieniotwórczości”. Niektórzy amerykańscy specjaliści wojskowi uważają, iż wykorzystanie neutronowych głowic „mini-

efekt powinny być użyte już na najwcześniejszym etapie i tym samym spowoduje to obniżenie tzw. progu jądrowego. A to już prowadzi do pośrednio do eskalacji konfliktu jądrowego.

Od momentu gdy w Waszyngtonie wylądował problem bomby neutronowej w wielu krajach zachodniej Europy, i zresztą na całym świecie, użyci, politycy, duchowni, działacze przeróżnych organizacji, postępowo prasa wystąpili z ostrą krytyką zamiaru produkcji broni neutronowej i rozmieszczenia jej na terytorium zachodniej Europy. Nie dziwnie, iż dążenie amerykańskich strategów do stworzenia w zachodniej Europie, przy pomocy taktycznej broni jądrowej o podwyższonym promieniotwórczością, „pierwszej linii obrony NATO” nie spotkało się z entuzjastycznym poparciem w zachodniej Europie, na co liczyli przedstawiciele pewnych kręgów w USA.

Wysięg zbrojeń, który Waszyngton nanucza światu wykazuje absurdalność doktryny strategów Pentagonu i ich zwolenników w krajach członkowskich NATO, a przede wszystkim „doktryny zastraszenia”. Twierdząc, iż produkcja bomby neutronowej pomoże zapobiec wojnie, należąca na produkcję tej śmiertelnej niebezpiecznej broni masowej zagłady.

Jest oczywiste, że nawet jeśli decyzja prezydenta USA o produkcji składowych elementów broni jądrowej o podwyższonej radiacji podjęta przez liderzy rządów należących do NATO, to robia to, wbrew potężnej opozycji narodów swoich krajów. Żądają one położenia kresu wyścigowi zbrojeń, prowadzenia rozumnej, niezależnej od dyktatu USA i NATO, pokojowej polityki międzynarodowej odbroni i współpracy między krajami Wschodu i Zachodu, jak, niezawodnej gwarancji zachowania pokoju na świecie.

JERZY CZECH

NIKARAGUA

ŚMIERĆ I ZNISZCZENIA

Nikaragua coraz bardziej przekształca się w ponury świat emerytów i bratnich mogił. Tymczasem w stosunku do tej jednej z najbardziej krwawych dyktatur w Ameryce Łacińskiej i najbardziej długo trzymającej się w władzy, obserwuje się w Waszyngtonie w dalszym ciągu dużą ostrożność. Oficjalny przedstawiciel Stanów Zjednoczonych znowu powtórzył, że rząd USA nie próbuje wpłynąć na odsunięcie od władzy gen. Somozy. Należy wnioskować, że Stany Zjednoczone nie uczyniły dosłownie nic, kiedy był jeszcze czas, żeby zapobiec krwawej wojnie — którą przecież nieudolnie było przewodzić — prowadzonej obecnie przez „swardi narodowy” Anastasio Somoza. „Nieśmiałe apele Waszyngtonu nawołujące „do porządku” nie położyły oczywiście kresu masowym zabójstwom, dokonywanym na polecenie dyktatora. Właściwy wpływ na dyktatora Somozy wywarło przerwanie wszelkiej amerykańskiej pomocy, efektywne embargo na dostawy broni i niedwuznaczne potępienie jej zbrodniczego działania. Uchylając się od zrobienia takiego decydującego kroku, prezydent Carter mocno poderwał wiarę w jego wielokrotne wystąpienia w sprawie obrony praw człowieka.

Można znaleźć mnóstwo przyczyn wyjaśniających milczenie głowy Białego Domu i nawet ci komentatorzy, którzy są dla niego źyczliwi mówią o nich otwarcie: Anastasio Somoza cieszy się w Waszyngtonie dużym poparciem wcale ważnego lobby i gdyby wzbudził jego niezadowolone, to do skutku cios mógłby otrzymać kompromis Cartera z kongresem USA, z takim trudem osiągnięty w związku z nowym porozumieniem w sprawie Kanalu Panamskiego. Poza tym, zgodnie ze środkowamerykańską wersją „teorii domina”, jeśli by „rzucił na pastwę losu” dyktatora z Nikaragui, to będzie to miało poważne „destabilizacyjne następstwa” w sąsiednich krajach, takich na przykład, jak Gwatemala, Honduras i Salwador. Ponadto, po zawarciu nowych porozumień z Panamą, USA chcą koniecznie zachować w Nikaragui wszystkie swoje wpływy, ponieważ jest to jedyny kraj Ameryki Środkowej, w którym można wybudować nowy kanał.

HELMS SKŁADA UBOLEWANIE

Były dyrektor CIA, Richard Helms, powiedział niedawno, że teraz ubolewa, iż nie powiadomił komisji Warren (która oficjalnie badała okoliczności zabójstwa prezydenta Kennedy'ego) o przygotowywaniu w USA tajnych spisów przeciwko Fidelowi Castro. Helms w swoich wyznaniach na ten temat podkreślił także, że spiski te w końcu lat 50-tych i początkach 60-tych były, jak podaje „UP International”, „operacją całego rządu” i że wiedziało o tym wielu urzędników na wysokich stanowiskach.

Chociaż specjalna komisja senacka do kontroli działalności organów wywiadowczych USA, w 1975 roku doszła do wniosku, że nie ma żadnych dowodów na to, żeby któryś z prezydentów wiedział o spisach, które by miały na celu zabójstwo Fidela Castro, Helms oświadczył, iż wiedział o tym — Kennedy i Johnson. Jak poinformowano, spiski z myślą zamordowania Castro przygotowywano do połowy lat 60-tych, przy czym wysiłkom CIA pomagali wpływowi członkowie mafii.

Helms powiedział także, że w maju 1967 roku powiadomił prezydenta Johnsona o takich działaniach wymierzonych przeciwko Fidelowi Castro. Główny prawny konsultant komisji Izby Reprezentantów do badania zabójstwa prez. Kennedy'ego, J. Robert Blacky, zadał Helmsowi takie pytanie: „Jakie, przypuszczalnie, mogły być moralne usprawiedliwienie prób zabójstwa głowy zagranicznego państwa?”. — „Żadne — odparł Helms. — Już złożenie z tego powodu ubolewania. I nie mogę zrobić nic ponadto, jak publicznie prosić o przebaczenie przez telewizję. Popelnieniem błęd. Ale wywierano na mnie silne naciski”...

(B)

PO OBU STRONACH — ZADOWOLENIE PIĘCIOLECIE ROKOWAŃ W WIEDNIU POLSKIE ROZMOWY WE WŁOSZACH

„Na podstawie danych, którymi dysponujemy, można stwierdzić, że pod pewnymi względami nastąpiło dalsze zbliżenie stanowisk... Światowa opinia publiczna żywi nadzieję, że ważne dzieło, jakim jest zawarcie dwustronnego układu w sprawie ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych, zostanie doprowadzone do pomyślnego końca”.

„Serdeczna atmosfera, jaka utrzymywała się w czasie wizyty Vance stanowiąca ostry kontrast wobec oziębłych stosunków w poprzednich miesiącach, które zagrażały całej strukturze odprężenia... Obecny nastrój zarówno w kołach amerykańskich, jak i radzieckich wyraźnie wskazuje na nadzieję przewyższającą ostatnie przeszkody, co umożliwi podpisanie układu jeszcze w tym roku”.

Pierwszy cytut pochodzi z komentarza TASS, drugi — z moskiewskiej korespondencji AP. Po obu stronach jest więc pozytywna ocena rozmów amerykańskiego sekretarza stanu z radzieckimi gospodarzami. Oczekiwania, że SALT II dobiegnie rychło pomyślnego finału, są teraz po prostu realniejsze.

Nie uzgodniono jeszcze wszystkiego, ale zakres spraw rozbieżnych wyraźnie się zmniejszył. Komentatorzy zastanawiają się, czy raz jeszcze spotkają się Gromyko i Vance, czy też wystarczy już krótka tura rokowań, aby tekst dwustronnego porozumienia był gotów do podpisania. Wtedy na pewno spotkałby się L. Breżniew i J. Carter. Agencje piszą, że obie strony zgodne są co do wagi takiego wydarzenia i piszą o nowym układzie jako o „kluczowym elemencie odprężenia” i czynniku, który nada „nowy rozmach stosunkom amerykańsko-radzieckim”.

Zdaniem obserwatorów — w czasie moskiewskich rozmów podjęto również kwestię rokowań wiedeńskich.

Dotychczasowy przebieg nie jest zadowalający. 30 października minęło pięć lat od ich zapoczątkowania. Mimo, że uczestniczące w nich: Zwią-

zek Radziecki, Polska, Czechosłowacja i NRD czynią wszystko, aby szybko nastąpiło ich pomyślne zakończenie, nie widać jeszcze kształtu porozumienia o wzajemnej redukcji zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej. W obecnym stadium trudności polegają na tym, iż kraje NATO dotąd nie udzieliły oficjalnej odpowiedzi na nowe propozycje krajów socjalistycznych, wniesione na początku czerwca oraz na tym, że Zachód odmawia ograniczenia liczebności sił powietrznych i nie chce poinformować, ile wojsk gotowe są zredukować RFN, W. Brytania i inni uczestnicy rokowań.

Minione pięć lat rokowań jest rozczarowujące, ale przecież nie zostało stracone. Przy dobrej woli wszystkich rokujących możliwości rzeczywistych rozwiązań istnieją nawet w krótkim czasie. Przemawiając w ub. tygodniu szef delegacji radzieckiej na rokowania wiedeńskie — N. Tarasow powiedział m. in., że państwa zachodnie muszą uznać, iż ich bezpieczeństwo, tak, jak i bezpieczeństwo krajów socjalistycznych, lepiej będzie zapewnione w wyniku wzajemnego i równorzędnego zmniejszenia potencjałów wojskowych niż w warunkach ich powiększenia. Muszą też zrozumieć, że próby uzyskania jednostronnych korzyści nie dadzą rezultatu.

Nie ulega wątpliwości, że ogólne oziępienie na linii Moskwa — Wa-

szington wpłynęłoby korzystnie także na rokowania wiedeńskie.

Od dwóch tematów ogólniejszych przejdźmy do dwóch szczegółowych. Pierwszy z nich — to próba wyjścia z kryzysu rządowego w Portugalii. Po krótkim żywocie gabinetu Alfreda da Costa i przeciwie socjalistów, by ponownie był on desygnowany na premiera — misję utworzenia nowego rządu prezydent powierzył profesorowi prawa Carlosowi Monta Pinto. Czy uda mu się skompletować gabinet — okaże się rychło. Tak czy inaczej będzie to znowu rząd tymczasowy i wybory parlamentarne w przyspieszonym terminie wydadzą się niuniknione.

Ostatni temat naszego dzisiejszego przeglądu — to rozmowy we Włoszech — z prezydentem republik i premierem rządu — H. Jablonskiego, przewodniczącego Rady Państwa PRL.

Przedmiotem rozmowy były aktualne zagadnienia dwustronnej współpracy. Wyrażono zadowolenie z pomyślnej realizacji wspólnych ustaleń, dotyczących stosunków gospodarczych i kulturalnych.

Premier G. Andreotti zaproszony został do złożenia oficjalnej wizyty w Polsce.

Polsko-włoska współpraca ma wieloletnie tradycje i obecnie dostarcza wielu przykładów pomyślnego jej rozwoju.

W. ŚLAWSKI



Rolnik Zygmunt Beda sceptycznie odnosi się do relacji o spotkaniach z pozaziemskimi istotami.

KONRAD TUROWSKI

SKĄD PRZYBYWAJĄ „ZIELONI”

— Ludzie, nie dajcie się tak ślepić dzieciakom — powiada Zygmunt Beda. Nie wierzy w niesamowitą przygodę ośmiorga dzieci ze Szkoły Podstawowej w Przyrownicy koło Kwiatkowiec w woj. sieradzkim. Mieszka tu od urodzenia, ma swoje lata i doświadczenie życiowe.

— Mało to ludzie bajali o tym krzyżu co stoi przy drodze? Białe koło miało się pokazywać o północy. Tylko, że nikt go jakos nie mógł złapać — mówi z wyraźną drwiną. — A pamięta pan jak się święte obrazy odnawiali? Akurat organizowaliśmy potańcówkę w remizie strażackiej, gdy przybiegły baby i wołają: — Chłopy, chodźcie zobaczcie jak się u Dąbkowej obraz odnowił! Prawdziwy cud! — krzyczały. I co? Wszyscy gapili się w ten obraz i nikt nie miał odwagi powiedzieć, że nie ma żadnego cudu bo obraz wcale się nie odnowił. Niechby się wtedy znalazł taki śmiełek, to pewnie tłum by go ukamionował... Teraz też pewnie dzieciaki zobaczyły burowego Kozłowskiego i wzięły go za pozaziemską istotę — konkluduje z przekonaniem.



31-letni Henryk Marciniak z Gollny twierdzi, że widział się z Kosmitami.

— A te ślady w rzepaku? — wtrąca Krzysztof Wawrzyniak, uczeń III klasy, który podobno pierwszy przybiegł do szkoły z wiadomością o spotkaniu w pobliskim lesie „zielonego człowieka” i teraz przysłuchiwał się wywodowi rolnika.

W czym rzepaku? — zaraz zapytał Zygmunt Beda.

— Chyba to pana pole, dużo ludzi chodziło tam oglądać wygniecione miejsca — odpowiedział chłopiec.

— Ale Beda nie dał za wygraną: — Jakżeście chodzili po rzepaku to i wydeptaliście — odparł, nie dając wiary ani w pojawienie się koło Przyrownicy „zielonych ludzików” ani w jakikolwiek ślady ich pobytu na Ziemi...

„Zielony” w Przyrownicy

Dzieciaki jednak upierają się przy swoim. Oto relacja jaką uzyskałem 2 października 1978 r. w całości rejestrując wypowiedzi bohaterów niesamowitego zdarzenia na taśmie magnetofonowej.

W środę 27 września 1978 r. zajęcia trzeciej klasy Szkoły Podstawowej w Przyrownicy miały się rozpocząć dopiero o godzinie 9. Większość dzieci zapomniała jednak, że nie będzie pierwszej lekcji i przyszły do szkoły na ósmą. Mając wolną godzinę kilkanaścioro dzieci pobiegło do lasu, który rozciąga się wzdłuż drogi z Przyrownicy do Magnusów, a południowym bokiem przylega do szkoły, wyrasta pod jej oknami. Młodzież obyła jest z tym lasem, miejscami tak gęstym, że trudno przebrnąć przez skupiska młodych sosn i świerków. Nieco dalej, po lewej stronie drogi, las rzadnie. Niewielkie wzniesienie znacznie jest Łysa Góra. Obok były prowadzone badania archeologiczne. W starej piśninicy odkryto cmentarzysko z czasów rzymskich. Dzieci o tym wiedzą, bo nauczyciele przyprowadzają je tutaj na lekcje historii. W lesie często też odbywają się zajęcia wychowania fizycznego. Znajdą więc las i nigdy nie objawiały lęku, choć stało się już niemal regułą, że z nastaniem pory grzybobrania, gdy zjeżdżają się tu tłumnie grzybiarze z Łodzi, krąży mroźne krew w żyłach opowieści i grasujących wampirach i najrozmaitszych zbrodniach.

Krzysztof Wawrzyniak chodził po lesie z młodszym bratem, Radosławem, który jest uczniem II klasy. Dlaczego Radek nie siedział w ławce, na lekcji rachunków — obaj wolą nie odpowiadać. Chętnie za to opowiadają o niesamowitym spotkaniu, pokazują miejsce, gdzie w świerkowej gęstwinie, około 10—15 metrów od drogi, zobaczyli niezwykłą postać.

— Który z was pierwszy zobaczył? — pytam chłopców.

— Pierwszy zobaczył Krzysiek — pełnym zdaniem, jak na lekcji, odpowiada Radek.

— Opowiedz więc, Krzysztof, jak to było od samego początku — zwracam się do starszego z braci.

— To było tak, że zbieraliśmy grzyby i spotkaliśmy tego kogoś w czarnym skafandrze, twarz miał zieloną dłoń też, a na rękach między palcami takie błony jak u kaczki.

— Jakże znasz rodzaje skafandrów? Wymieniła tylko jeden — pletwonurka. Widział kiedyś pletwonurków w telewizji. Mówi, że ten „ktos” też miał na nogach pletwy, jakie zakładają sobie pletwonurkowie, a spod skafandra opinającego całe ciało widać było tylko twarz i dłonie.

— Na piersiach miał wymalowane

koło, bardzo jasne — uzupełnia Radek. Obaj twierdzą, że był nieco wyższy od nich, mógł mieć ok. 150—160 cm wzrostu. Gdy go zobaczyli był odwrócony tyłem, ręce trzymał sztywno i szedł wolno w głąb lasu. Zauważyli, że ma pochylone plecy. — Przestraszyliśmy się bardzo — mówi Radek Wawrzyniak — ale zaczęliśmy uciekać dopiero jak on się do nas odwrócił. Miał bardzo brzydką buzię...

W klasie wrzało, gdy nauczycielka, Janina Chlebowska, weszła, aby rozpocząć zajęcia wychowania muzycznego, pierwszą w tym dniu lekcję. — Proszę pani, tam jakiś zielony człowiek chodził po lesie — wołały dzieci jedno przez drugie.

— Proszę siadać — powiedziałam kategorycznym tonem. — Nie opowiadajcie bajek, których się nasłuchaliście w telewizji, o tym rolniku co spotkał Marsjan pod Lublinem... Ale dzieciaki nie chciały się uspokoić. Wreszcie zapytałam: — Kto widział tego zielonego człowieka? Sześcioro dzieci podniosło ręce. Później okazało się, że jeszcze dwoje widziało. Wszyscy zgodnie opisywali jego wygląd, wzrost i ten okragły znak na piersiach. Kasia Kollńska była tak przerażona, że aż broda jej się trzęsła i słowa nie mogła wydobyć. Dopiero, gdy się uspokoiła opowiedziała, że najpierw zobaczyła czarne nogi, a gdy podniosła wzrok stał przed nią niesamowity, „zielony człowiek”, o przerażających, skośnych oczach...

Janina Chlebowska od dziesięciu lat jest nauczycielką w Przyrownicy. Twierdzi, że dobrze zna dzieci i na pewno one nie kłamią.

— Rzeczywiście coś niezwykłego musiały widzieć — mówi.

Taką samą opinię wyraża Wacław Chlebowski, dyrektor szkoły:

— Dzieci nie mogły wszystkich wymyślić. Nie chodzą przecież po lesie w jednej gromadzie, nie może być mowy o zbiorowej sugestii. Na podstawie pojedynczych relacji można nawet odwrócić drogę jaką musiała przebyć ta dziwna istota. Tylko chyba dwoje czy troje dzieci oglądało telewizję. Zagadkowa więc wydaje się niemal całkowita zbieżność opisu „zielonego ludzka” w relacjach dzieci z rysunkami przedstawionymi w telewizyjnym programie o lądowaniu UFO pod Lublinem...

— Może ktoś umyślnie się przebrał, aby narobić sensacji wokół niezidentyfikowanych obiektów latających?

— Zakładaliśmy i taką ewentualność — mówi dyr. Wacław Chlebowski. — Ale w takim razie musiałby zniknąć jak kamfora, szybko i bez śladu. Zaraz bowiem poszliśmy z dziećmi do lasu. Przeczesałmy wszystkie gęstwiny, nigdzie nie natrafiliśmy na jakikolwiek trop mogący prowadzić do wyjaśnienia zagadki. Spodziewaliśmy się, że to przeczesanie lasu przekona i uspokoi dzieci. Nicstety, wcale stanowczo twierdzą, że „zielony człowiek” chodził po lesie i na pewno go widzieli. Teraz boją się same chodzić przez las. Matki muszą je przyprowadzać i odpiierać ze szkoły. Jedna dziewczynka tak przeżyła tę niesamowitą przygodę, że w nocy zrywa się ze snu, bo śni się jej „zielony człowiek”...

Skoro działania na własną rękę nie daly rezultatu wzywano milicję. Przybyli z Komendy Wojewódzkiej MO w Sieradzu funkcjonariusze doszukiwali się zgola prozaicznych źródeł historii o pozaziemskiej istocie.

— Pewnie dzieciaki chciały uniknąć dwójek ze śpiewu i po to wymyśliły całe opowiadanie o „zielonym człowieku” — powiedzieli.

— To niemożliwe — odpowiedziała Janina Chlebowska — dzieci bardzo

lubią wychowanie muzyczne i nie mają powodów, aby unikać tej lekcji...

Już po ujawnieniu niesamowitych opowieści uczniów z trzeciej klasy Szkoły Podstawowej w Przyrownicy emerytowana nauczycielka, Anastazja Bystra, powiedziała, że dzień wcześniej, tj. 26 września 1978 r. wieczorem, idąc przez wieś do sąsiadów na telewizję, zobaczyła nad lasem dziwne, czerwone światło. To samo pulsujące światło widziała też jej dorosła córka i Józef Pawlak. Szybko przesuwało się nad wierzchołkami drzew. Twierdzą, że nie było to światło pozycyjne samolotu „bo samoloty nie latają przecież tak nisko”.

Uścisk dłoni

Czy tylko zadziwiający zbiegiem okoliczności jest, że również w środę 27 września 1978 r., w odległym przeszło sto kilometrów od Przyrownicy miasteczku Gollna koło Konina, rozszalała się wieść o nie mniej niesamowitym spotkaniu 31-letniego Henryka Marciniaka? Zbierając grzyby, tego dnia ok. godziny 13, miał spotkanie dwóch pasażerów niezidentyfikowanego obiektu latającego, z którymi wymienił uścisk dłoni.

Oto szczegóły.

— Dłonie ich były znacznie mniejsze od moich, szczupłe i dziwnie elastyczne; miały kolor tak samo intensywny zielony jak i ich twarze — opowiada H. Marciniak. — Widać się z nimi nie zauważyłem, aby mieli błony między palcami. Zwróciłem uwagę na szkliste, czerwone oczy w skośnej oprawie i silnie wystające kości policzkowe...

Henryk Marciniak jest kierowcą w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej w Koninie. Siedem lat temu ożenił się. Z trójga dzieci najstarszy syn ukończył sześć lat. Zona Wiesława, pracowała jako księgowa w Kółku Rolniczym. Od roku zajmuje się wychowywaniem dzieci i prowadzeniem domu. Zajęta ma dużo bo dom, w którym mieszkają w Gollnie przy ul. Leśnej 3, sami pobudowali i jeszcze nie jest całkowicie wykończony. Wśród sąsiadów Marciniakowie mają opinię przykladnej rodziny. Starsi mieszkańcy pamiętają, że Henryk Marciniak pochodzi z Brzeźniak. Był najstarszym z siedmiorga dzieci ślusarza w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Kazimierzu Biskupim. Ludzie nie znajdują powodów, dla których Henryk Marciniak miałby wymyślić całą historię o spotkaniu z pozaziemskimi istotami. Powiadają:

— Skoro Marciniak to mówi, coś w tym musi być...

Henryk Marciniak chętnie pozuje do zdjęć przy motocyklu, którym — według jego relacji — bardzo interesował się pozaziemscy przybysze.

— Tę „wufemkę” — mówi — kupiłem zaraz po ślubie. Przejechałem na niej przeszło 43 tys. kilometrów. Silnik już wymieniłem, ale teraz gorzej chodzi na tym nowym cylindrze niż na starym...

W środę 27 września — opowiada H. Marciniak — kierownik Józef Janiak, wcześniej mnie zwołali i pracy bo w wolną sobotę odprowadziliśmy ciągnik do remontu do Gniezna. Powiedział żebym sobie odebrał wolne godziny co mi się należało. Wróciłem więc do domu. Pogoda była ładna. Wziąłem trzy torby i pojechałem na grzyby. W niedzielę też byłem na grzybach, ale tylko zmokłem bo lato jak z cebra... Ten las to młodnik sosenowo-świerkowy, ze dwa kilometry na wschód od Gollny. Zbierałem

grzyby i co jakiś czas wracałem do motocykla, aby go przestawić w nowe miejsce. Przeszłam go tak ze cztery razy aż doszedłem do poręby, gdzie w miejsce wyciętych drzew, po których tylko pniaki zostały, posadzono dębczaki. Chyba w zeszłym roku. Trawa tam jeszcze wyższa niż te sadzonki.

Właśnie przestawiłem motor, gdy zobaczyłem na porębie obiekt koloru szarego, przypominającego kształtem i wielkością barakowóz. Stał na ziemi na czterech dość wysokich podporach. Żadnych dźwięków nie słyszałem. Zastanawiałem się co to może być za dziwo, jakiego nigdy dotąd nie widziałem, gdy nagle jakby rozsunęły się drzwi i stanęły w nich dwie istoty znacznie różniące się od ludzi. Jedna z tych istot widocznie mnie zauważyła bo zaczęła dawać ręką znaki. Zrozumiałem, że mam się zatrzymać. Z kwadratowego otworu wysunęły się stopnie, po których obaj nieznanymi zeszli na ziemię. Zbliżyli się do mnie. Wyciągnęli do mnie ręce. Przywitani się z mną. Lęku nie odczuwałem. Zauważyłem, że ręce ich są jednako grube na całej długości, od dłoni do ramion. Ja mam 1,70 m wzrostu a oni byli znacznie niżsi, mogli mieć 1,40 m. Kombinezony mieli jak na nich odlane, tak ściśle przylegały. Żadnych znaków nie widziałem. Nie były czarne, choć ciemniejsze niż ziemia... Między sobą o czymś rozmawiali. To były takie dźwięki jakby pływ 33-obrotowa nastawie na 78 obrotów. Jeden z nich trzymał jakiś aparat, który pstrykał i wówczas przesuwała się w nim wąska taśma. Odniosłem wrażenie, że robi zdjęcia. Dokładnie oglądaliśmy motocykl. Interesowali się też grzybami, których miałem już jeden pełen koszyk i zawiesiłem go na kierownicy. Pokazałem na mi, że są do jedzenia. Wtedy się usmiechnęli. Ale twarze ich nie były mile...

Chcieli bym pokazać jak się jeździ na motorze. Wszystko dokładnie im pokazałem, wsiałem na motor i wolniutko, na jedynce, ruszyłem. Odjechałem na 20 metrów. Oparłem motor na nożce i wszedłem do lasu z myślą, że będę ich obserwował z ukrycia... Niedługo jednak to trwało. Zobaczyłem, że ten który trzyma aparat wykonuje taki ruch nogą jakby chciał ziemię kopnąć. Jednocześnie usłyszałem z tego dziwnego obiektu stojącego na porębie sygnał przypominający dzwonek. Starsi mieszkańcy pamiętają, że Henryk Marciniak pochodzi z Brzeźniak. Był najstarszym z siedmiorga dzieci ślusarza w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Kazimierzu Biskupim. Ludzie nie znajdują powodów, dla których Henryk Marciniak miałby wymyślić całą historię o spotkaniu z pozaziemskimi istotami. Powiadają:

— Skoro Marciniak to mówi, coś w tym musi być...

Henryk Marciniak chętnie pozuje do zdjęć przy motocyklu, którym — według jego relacji — bardzo interesował się pozaziemscy przybysze.

— Tę „wufemkę” — mówi — kupiłem zaraz po ślubie. Przejechałem na niej przeszło 43 tys. kilometrów. Silnik już wymieniłem, ale teraz gorzej chodzi na tym nowym cylindrze niż na starym...

W środę 27 września — opowiada H. Marciniak — kierownik Józef Janiak, wcześniej mnie zwołali i pracy bo w wolną sobotę odprowadziliśmy ciągnik do remontu do Gniezna. Powiedział żebym sobie odebrał wolne godziny co mi się należało. Wróciłem więc do domu. Pogoda była ładna. Wziąłem trzy torby i pojechałem na grzyby. W niedzielę też byłem na grzybach, ale tylko zmokłem bo lato jak z cebra... Ten las to młodnik sosenowo-świerkowy, ze dwa kilometry na wschód od Gollny. Zbierałem

grzyby i co jakiś czas wracałem do motocykla, aby go przestawić w nowe miejsce. Przeszłam go tak ze cztery razy aż doszedłem do poręby, gdzie w miejsce wyciętych drzew, po których tylko pniaki zostały, posadzono dębczaki. Chyba w zeszłym roku. Trawa tam jeszcze wyższa niż te sadzonki.

Właśnie przestawiłem motor, gdy zobaczyłem na porębie obiekt koloru szarego, przypominającego kształtem i wielkością barakowóz. Stał na ziemi na czterech dość wysokich podporach. Żadnych dźwięków nie słyszałem. Zastanawiałem się co to może być za dziwo, jakiego nigdy dotąd nie widziałem, gdy nagle jakby rozsunęły się drzwi i stanęły w nich dwie istoty znacznie różniące się od ludzi. Jedna z tych istot widocznie mnie zauważyła bo zaczęła dawać ręką znaki. Zrozumiałem, że mam się zatrzymać. Z kwadratowego otworu wysunęły się stopnie, po których obaj nieznanymi zeszli na ziemię. Zbliżyli się do mnie. Wyciągnęli do mnie ręce. Przywitani się z mną. Lęku nie odczuwałem. Zauważyłem, że ręce ich są jednako grube na całej długości, od dłoni do ramion. Ja mam 1,70 m wzrostu a oni byli znacznie niżsi, mogli mieć 1,40 m. Kombinezony mieli jak na nich odlane, tak ściśle przylegały. Żadnych znaków nie widziałem. Nie były czarne, choć ciemniejsze niż ziemia... Między sobą o czymś rozmawiali. To były takie dźwięki jakby pływ 33-obrotowa nastawie na 78 obrotów. Jeden z nich trzymał jakiś aparat, który pstrykał i wówczas przesuwała się w nim wąska taśma. Odniosłem wrażenie, że robi zdjęcia. Dokładnie oglądaliśmy motocykl. Interesowali się też grzybami, których miałem już jeden pełen koszyk i zawiesiłem go na kierownicy. Pokazałem na mi, że są do jedzenia. Wtedy się usmiechnęli. Ale twarze ich nie były mile...

Odosobniona hipoteza

Znawca przedmiotu i odkrywca głośnego już dziś spotkania w Emilcinie koło Opola Lubelskiego, Witold Wawrzonek z Lublina, napisał do mnie:

„Przedstawiam mój własny — niestety, odosobniony — pogląd na sprawę niezidentyfikowanych obiektów latających. Mimo zwiększania się — zwłaszcza w ostatnim okresie — liczby informacji dotyczących niezidentyfikowanych obiektów latających oraz ciągłego udoskonalania metod badania tzw. zjawisk UFO, zakres posiadanej w tym przedmiocie wiedzy nie ulega widocznemu zwiększeniu. Wśród zainteresowanych problematyką panuje niemalże powszechne przekonanie, że „sprawcami” tzw. spotkań trzeciego typu są inteligentni przedstawiciele pozaziemskich cywilizacji, dysponujących techniką, która umożliwiła im przybywanie do nas z bliższych lub dalszych rejonów wszechświata. Tego rodzaju pogląd powstał i utrwalił się m. in. z tej przyczyny, że większość wiarygodnych relacji czy raportów informuje o spotkaniach z niezidentyfikowanymi obiektami latającymi w obrębie warstwy powietrza otaczającego naszą planetę, a znacznie mniej „lokują” te obiekty na wodzie czy też pod wodą. Niemalże wpływ na odwrócenie uwagi ma również zachowanie się UFO. Bardzo duża liczba świadków relacjonuje bowiem, że obiekt nadleciał z góry bądź znikł w górze. Ostateczny wpływ na tego rodzaju kryteria i opinie ma zapewne i to, że nigdzie na naszej planecie nie natrafiono jak dotąd na jakąś „bazę latających obiektów”. Nie ma również powodów do przypuszczeń by jakaś izolowana grupa pochodząca z naszej cywilizacji, posługująca się tego typu „samolotami”. Pozyskane i zinterretowane informacje tworzą już nawet według niektórych UFO-logów bardzo dla nich korzystną teorię — „potwierdzają” bowiem fakt istnienia pozaziemskich cywilizacji!... Tak „ustawiona” hipoteza, czy teoria nie może być płodna, nie posunie naprzód myśli naukowej, zbyt wielka bowiem jest tu obfitość przewidywań! Nie sądzę, by zebrane dotychczas informacje o zjawiskach UFO, totalitarnie uprawniały do przypuszczeń, że „latające talerze” przybywają z Kosmosu i w Kosmos odlatują. Patrząc w górę nie jesteśmy w stanie spoglądać w dół i dlatego zjawiska UFO są tak odporne na badania!...”

W konkluzji swego listu Witold Wawrzonek stwierdza:

„Biorąc pod uwagę, że delfin jest najbardziej inteligentnym po człowieku organizmem (przeciętnie: człowiek 215 jednostek inteligencji, delfin — 190), że według opisu Jana Wolskiego napotkane przez niego istoty miały między innymi rąk coś w rodzaju błony pławnej i poruszały się w podobny sposób jak my poruszamy się pod wodą, że bardzo często zalogi UFO interesują zbiorniki słodkiej wody, że Bridle i Feldman w Algocin prowadzą od 4 lat przy użyciu 150-stopniowego radioteleskopu poszukiwania podwodnych cywilizacji, które — być może — emitują w Kosmos fale elektromagnetyczne o długości 1,35 cm — możemy domniemywać, że w głębiach oceanicznych istnieją inteligentne istoty, działające w sposób przemysłowy i zorganizowany, a skonstruowanymi i wykonanymi przez siebie obiektami są w stanie poruszać się pod wodą, w powietrzu i prawdopodobnie, w przestrzeni kosmicznej!...”

Foto: Autora

Nie mogłem już wycofać się z tego spotkania, które w obecnej chwili nie było dla mnie najmięsz z różnych powodów wiadomych. Lidka tak samo jak podczas naszego zapoznania, ubrana była elegancko. Tym razem w sweterku w różnokolorowe paski, w czarnej oboistej spódnicy, z lakierowaną torebką i w lakierowanych pantofelkach na wysokich obcasach. Jak mnie tylko zobaczyła wpełnęła reszki łoda do ust, koronkową chusteczką otarła ręce i powiada:

— Co za spotkanie. Myślałam, żeś już zginął, a ty sam pojawiaś się tu. Coś niebawego.

— No widzisz — bąkam zmieszany — wtenczas nie mogłem przyjechać.

— Po co się tłumaczysz — ona mówi. — Wiem dobrze, że z inną krecisz. Masz otazywać lokum, to możesz obecnie wybierać i przebiegać.

Uśmiechnąłem się głucho. Poprawiłem krawat. Tego mojego kumpla już przy nas nie było.

— Tak samo wyszło — powiadam — ale mnie tam, bynajmniej, to wcale nie chodzi o przebieganie w różnych obcych panienkach.

— Nie udawaj lepiej — mówi i zaraz dodaje: — A ja staram się jednak na kursy na motorniczych na tramwaje. Być może już w niedalekiej przyszłości! Będę cię wozila do miejsca pracy.

— Może i tak — mówię. — Chociaż ja do miejsca pracy dojeżdżam autobusem.

— To nic — powiada Lidka. — Zawsze cię kiedyś podwiozę. Na pewno nie raz się spotkamy i nie dwa razy.

— Być to nie pewno może — mówię i rozglądam się wokół. Stoję przecież sam na sam z obcą mi kobietą w młodym wieku. W pobliżu dużo ludzi, dużo znajomych. Kłopotliwa sytuacja dla takiego osobnika, który wkrótce ma zawrzeć związek małżeński. Więc, żeby chociaż mieć spokój z własnym sumieniem, odeszliśmy kilka kroków dalej, w ciemniejszą stronę tej ulicy.

— To jednak wystawiałeś mnie — powiada po drodze Lidka. — Dla innej wystawiałeś mnie. Tak sobie pomyślałam już tamtego wieczora czekając na ciebie.

— Tamtą osobę dłużej znałem — tłumaczę jej. — Spotykaliśmy się przedtem.

— Rozumiem, jeśli dłużej się znać i kochać. Pewnie. Znałem jednego pana, co miał mieć z pewną młodą kobietą dziecko i ją też w okolicznościach porzucił, ale potem sam do niej przyszedł.

Popatrzyłem na Lidkę, coś mnie się jej gadka nie bardzo podobala. Tak jakby chciała się dowiedzieć, czy u mnie przypadkiem nie powstała podobna sytuacja. Ale udąłem, że nie nie rozumiem.

— To elegancko postąpił — mówię. — Mógłby tamtej pierwszej zawiązać świąt.

— Pewnie, że tak — odpowiada Lidka i spogląda na mnie. — Dobrze, że u ciebie takich komplikacji nie ma. Czasem do ołtarza się idzie nie z własnej już woli.

— Ano na szczęście, nie ma — mówię. — Przeszliśmy jeszcze kilka kroków i usiedliśmy na ławce na skwerku. Pośród otaczających nas ciemności nie było widać żadnej osoby, chociaż z różnych pobliskich stron dochodziły śmiechy i widać było ogniki papierosów. Od razu pewnie się poczułem, ale nie tak bardzo pewnie.

Siedzieliśmy dłuższą chwilę w milczeniu, bardzo blisko siebie, tak że przez moje ciało przechodziły dreszcze, a w głowie zbierały się różne myśli. Ale opanowanie walczyłem z nimi. Nawet nie objąłem Lidki. W końcu z tego wszystkiego wyciągnąłem pudełko papierosów. Podaliśmy Lidce zapaloną zapalniczkę, tak osłaniając rekami ogień, żeby inni nie dostrzegli jej twarzy.

Lidka wypuszczając dym zwróciła się do mnie.

— A jak ty myślisz, z tą swoją wy-

HISTORIA PEWNEJ MIŁOŚCI

LESZEK
PŁAZEWSKI

braną będziesz szczęśliwy.

— Chyba tak — mówię i wzdycham. — Ładna jest?

— A jakie, ładna. Trochę podobna do ciebie, tylko w innym guście. Szczuplejsza bardziej, i może ciut ciut niższa.

— To znaczy się, ty w takich bardziej szczuplejszych gustujesz.

— Otóż sam nie wiem — powiadam. — Jak ktoś mi się podoba, to się podoba, i na to rady nie ma.

— A ja ci się wcale nie podobam? — pyta mnie smutnym głosem Lidka.

— Widzisz — mówię — ty mi się też podobasz, ale Halinę dłużej znam od ciebie. No, nie tak długo — dodaje — żebym ją poznał całkiem dokładnie, bo taka sytuacja wynika. Ale myślę, że na pewno będzie nam dobrze, jak zabierzemy domowe ognisko i będziemy przebywać razem pod jednym dachem.

— Szkoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

To powiedziawszy wstała z ławki, wzięła torebkę i poprawiła sobie włosy. Nie pozostało mi nic innego tylko tak samo musiałem wstać.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

wiecznym. Bardzo przytulne, zresztą jak wszystkie małe rzeczy. Przy tym urządzeniu, różne wygody potrzebne dla każdego pracującego człowieka, jak gaz, centralne ogrzewanie, ubikacja na miejscu, wanna z ruchomym natryskiem. Woda ciepła i zimna. Od razu różnie się poczułem stojąc w tym mieszkaniu, które w niedługim czasie będzie w wyłącznym naszym posiadaniu. W większym pokoju patrząc z okna w dół zapaliliśmy we trójkę papierosy.

Wkrótce nadzedł dzień zawarcia związku małżeńskiego. Była to jednak zwykła formalność z małym przyjęciem. Nie mieliśmy przecież jeszcze mieszkania i nie mogliśmy urządzić takiego wesela, jakie byśmy chcieli.

Postanowiliśmy to odłożyć na najbliższą okazję, już na nowym.

Więc zaraz po wyjściu z tego urzędu, gdzie musieliśmy złożyć przysięgę na wierność w obecności dwójga świadków, i gdzie ten kierownik zwany biskupem pokładał nam na palce obrączki ze szczerego złota, wsiadliśmy do autobusu i pojechaliśmy do teściów. Tam zebrało się nas wszystkich kilkorok ludzi, przeważnie z najbliższej rodziny mojej małżonki oraz jej dwie koleżanki, bardzo eleganckie kobiety. Jedną, co była z siostrą, nazywała się Teresa Należyta. Druga wyższa i tęższa Krystyna Dmuchowicz.

Podczas przyjęcia kiedy lykneliśmy sobie po kilka kieliszków zapanował wesoły nastrój. Nawet koleżanki Haliny golly sobie zdrowo, chociaż chętnie świadek, Należyta. Znowu swagierka Wacia opowiadała kawały na przemian z jednym mężczyzną, którego nazywano panem Kazim. Było sporo gwaru i śmiechu. A najlepiej to czuł się sam teści, często podnosił się z krzesła śpiewając takie różne hecowne piosenki jak na ten przykład — „na trzewiku pękła skórka, jak się schylił brzo mi się dziurka...”, i jeszcze inne, których pamiętać nie sposób było.

Za to moja matka ciągle kreciła głową patrząc na pusty stół pod względem jedzenia i przysmaków, ale czuła się na ogół dobrze, bo wiedziała, że ja jestem szczęśliwy. Dużo rozmawiała o tym naszym nowym mieszkaniu, które ja wnoszę do małżeństwa.

Inni goście tak samo nadmieniali w ogólnym gwarze, że mieszkanie to najważniejsza w obecnych czasach sprawa dla młodych.

Ja znowu z powodu tego mieszkania czułem się trochę pokrzywdzony, bo mimo, że należało do nas prawnie, nie byłem jeszcze jego użytkownikiem i nie mogłem się nacieszyć swą młodą małżonką w pierwszą noc poślubną pod własnym dachem, tylko korzystając z gościnności teściów.

Nad samym ranem poszliśmy spać do pustego pokoju.

Klucze do nowego mieszkania otrzymałem dopiero w tydzień później. To był bardzo pogodny poniedziałek. Tego samego dnia zaczęliśmy się sprządzać. Urządzaliśmy je w trójkę, bo

Halina po tych moich słowach, jakby się rozpozodziła. Popatrzyliśmy jeszcze w niebo, porozmawialiśmy chwilę i udaliśmy się do naszych domów.

Następny dzień to właśnie niedziela. W niedzielę w trójkę, bo była jeszcze z nami moja przyszła swagierka Wacia, udaliśmy się do dzielnicy nowych bloków zobaczyć to nasze mieszkanie.

Halina i Wacia ubrane były pierwszą klasą, że lepiej nie potrzeba. W anilanych sweterkach, w ortolono-nych płaszczach, z lakierowanymi torebkami i w takich samych lakierowanych pantofelkach, co w nich można było się przejechać. Oprócz tego włosy miały odpowiednio ułożone i wyperfumowane.

Przyjemnie mi się szło z tak elegancko ubranymi kobietami, każdy przechodzień musiał zerknąć na nimi, czy to w naszej ulicy, czy to w autobusie, czy to w dzielnicy nowych bloków. Nie było siły.

Wacia na miejscu, znaczy się już przy nowych blokach obgadala dokładnie sprawę z dozorcą, co i jak, i na ostatnie wręczyła mu kilka złotych. Wtenczas on pofatygował się z nami do windy, a potem otworzył nam drzwi naszego nowego mieszkania, które mogliśmy sobie dokładnie obejrzeć ze wszystkich stron.

Nie było wielkich rozmiarów, ale przyjemne bardzo pod względem no-

— Chyba tak — mówię i wzdycham. — Ładna jest?

— A jakie, ładna. Trochę podobna do ciebie, tylko w innym guście. Szczuplejsza bardziej, i może ciut ciut niższa.

— To znaczy się, ty w takich bardziej szczuplejszych gustujesz.

— Otóż sam nie wiem — powiadam. — Jak ktoś mi się podoba, to się podoba, i na to rady nie ma.

— A ja ci się wcale nie podobam? — pyta mnie smutnym głosem Lidka.

— Widzisz — mówię — ty mi się też podobasz, ale Halinę dłużej znam od ciebie. No, nie tak długo — dodaje — żebym ją poznał całkiem dokładnie, bo taka sytuacja wynika. Ale myślę, że na pewno będzie nam dobrze, jak zabierzemy domowe ognisko i będziemy przebywać razem pod jednym dachem.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

— Szukoda — mówi Lidka nadal siedząc blisko mnie. Zaciąga się mocno papierosem. — Bo wtenczas myślałam inaczej, żeś całkiem wolny. Tak sam mówiłeś. Ale co tam przejmować się w tym wieku.

dużo nam pomagała w tej robocie swagierka Wacia i dużo w nasze sprawy wkładała osobistego serca.

Z domu rodziców wzięłam tylko stoliczek, tacek co go niedawno sam kupił i dwa stare obrazy przedstawiające sceny z życia świętych.

Nie chciałem, żeby ściany były puste. Jednak Halina nie dała mi tych obrazów powiesić, twierdząc, że to są starożytny obrazy i do nowoczesnego mieszkania nie bardzo pasują. Posłu-chałem się jej, bo pewnie miała rację, chociaż swagierka Wacia mówiła, że w ostateczności mogą być.

Tak więc pierwszego dnia urządziliśmy nasze nowoczesne mieszkanie do samej północy, potem Wacia wyszła, bo nie było drugiego łapaczana i ona nie miała gdzie gościć przenocować.

My tymczasem wykopaliliśmy się w wannie.

Halina założyła nocną koszulę niebieskiego koloru z falbankami u dołu. Wyglądała bardzo elegancko i powabnie w niej, wcale nie gorzej niż w swoich modnych sukienkach. W tym stroju położyła się na tapczanie bliżej od ściany. Chciałem tu nadmienić, że od nocy poślubnej spaliliśmy ze sobą już drugi raz.

Rano wstaliśmy szczęśliwi i wypo-częci, chociaż Halina udawała bardzo zmęczoną. Przeciągała się leniwie. Ceniłem ją za to jeszcze bardziej.

Teraz z miejsca naszego nowego zamieszkania do fabryki miałem dwa przystanki bliżej, ale Halina do swojej pracy obecnie trochę dalej niż dawniej. Jakież piętnaście minut drogi. No nie. Przed wyjściem z domu ucałowałem ją mocno i powiedziałem, że jak tylko dostanę wypłatę to do naszego mieszkania znowu się coś kupi — jakąś wartościową rzecz. Halina tak samo przyrzekała odkładać ze swych zarobionych pieniędzy na książeczkę oszczędnościową. Wsiadając do windy czułem jak mocno stoję na dwóch nogach.

W zakładzie zapisałem się również na pożyczkę.

Okres naszej największej miłości trwał około tygodnia, byliśmy zajęci sobą przez cały wolny czas, chyba że przyszła swagierka Wacia, która często zaglądała do nas. Przez ten czas naszej miłości kupiliśmy sobie szafę za nasze wspólne pieniądze już. Ale nową, dwudrzwiową ciemnego koloru i błyszczącą.

Po tygodniu Halina zamiast być wesoła, jak każda inna kobieta na swoim gospodarstwie, coraz częściej robiła się smutna i milcząca. Narzekała na pracę, na ludzi, na wszystko. Znowu na mnie to tak patrzyła jakby był jakimś obcym osobnikiem, a nie kochającym mężem i głową rodziny. Wyglądało, że nie nie sprawia jej radości. Ani pieszczoły, ani gotowanie obiadów, ani spaceru wokół bloków. Nawet to nasze wspólne mieszkanie jako tako już urzędzone. Często bez powodu się zamyślała i skarżyła na okropny ból głowy mówiąc, że ją chyba wpakuje pod przejeżdżającą tramwaj. Znaczący się chyba tak żartowała po swojemu.

Natomiast kiedy ja zaczynałem mówić o poważnych sprawach, jak o meblach, telewizorze i różnych innych bardzo ważnych sprzętach gospodarstwa domowego, szybko uciniała rozmowę.

I ty myślisz, że te przedmioty to dla mnie takie wielkie szczęście.

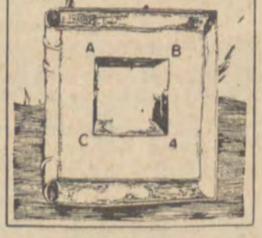
Tak wcale nie myślę — odpowiadam jej — ale zawsze lepiej mieszkać w ładnie urządzonej mieszkanie, na wysoki polysk niż być jak. Inaczej wtenczas inni ludzie człowieka widzą i inaczej się z nim liczą.

— Ty tylko to masz do powiedzenia — mówi Halina. — Nic więcej, tylko zawsze to jedno.

Zamyśliłem się nad jej słowami. Po tym popatrzyłem na nasze ciagle puste mieszkanie. Sporo by rzeczy tu się jeszcze zmieściło. Jakichś ładnych stoliczek, nowoczesny kredens za szkłem.

cdn.

Ex LIBRIS ODGŁOSÓW



EDWARD SZYMAŃSKI

W PIW-owskiej serii „celofanowej” (nazwa od dawna jest fikcyjna, ponieważ tomiki ukazują się bez celofanowej obwoluty) po raz pierwszy ukazał się wybór wierszy Edwarda Szymańskiego. Autor wstępu do tego wydania — Stanisław Ryszard Dobrowolski — stwierdza, że nie kto inny, jak właśnie Szymański, on jeden, zasługuje na tytuł proletariackiego poety.

Oczywiście w stwierdzeniu „on jeden” jest sporo nawet racji, i może doza prowokacji, i może

ale jest niezaprzeczanym faktem, że Edward Szymański był postacią niezwykle znaczącą w panoramie polskiej poezji proletariackiej. Wyrosły i żyjący później, wciągnięty w twarde warunki stworzone przez ustrój oparty na wyższości cudzej pracy, nacechowany klasowym uścisłem, zdobył rzetelną wiedzę o życiu już we wczesnych latach swej trudnej młodości — nie z podręczników, nie z literatury, lecz przede wszystkim z osobistych doświadczeń. I potrafił wyciągnąć z nich właściwe wnioski.

Syn warszawskiego robotnika, uczestnika rewolucji 1905 roku, członka PPS i działacza związków zawodowych, od dziecka chłonił tę gorącą atmosferę rewolucyjną, jaką przesycało było codzienne życie fabrycznej dzielnicy Warszawy — Woli. Napisał potem, że tam, na warszawskiej Woli, wśród takich właśnie prostych ludzi pracy jak jego ojciec, nauczył się za młodu „walczyć

i cierpieć, nienawidzić otwarcie i wprost. — I kochać, kochać tak mocno, jak tylko potrafi człowiek”.

Pełne wydanie wierszy Edwarda Szymańskiego ukazało się siedem lat temu, obecnie mamy wybór w popularnej serii, choć i tu nakład jest niewielki. Ale — łącznie z wyborem „Biblioteki Poetyckiej” LSW — mamy trzy zbiory tego proletariackiego poety. Trzy na trzydziestolecie.

Edward Szymański „Poezje”, PIW, cena 35 zł.

MARSZAŁKOWSKA

Prof. Stanisław Herbst, zmarły przed pięćmioma laty wybitny historyk, podjął badania nad dziejami ulicy Marszałkowskiej jeszcze przed wybuchem II Wojny Światowej, jako asystent w Zakładzie Architektury Polskiej PW u prof. Oskara Sosnowskiego.

Ulica Marszałkowska była u schyłku dwudziestolecia główną arterią Warszawy. Ruchliwa, zatłoczona, brzydka, o niezharmonizowanej zabudowie, mogła sprawiać wrażenie „ulicy bez historii”. Stanisław Herbst odkrył, że tę historię miała i to pasjonująca.

Herbst przedstawił dzieje w sposób kompleksowy, łącząc w jednolity wykładzie sprawy komunikacji, zabudowy i ekonomiki, wiążąc historię kamienic z historią i zajęciami ludzi, którzy w nich mieszkali.

Wykorzystał szeroką bazę źródłową, która w lwiej części uległa zagładzie w czasie powstania warszawskiego. Pracę ukończył prof. Herbst w roku 1945 i była ona podstawą jego habilitacji na Uniwersytecie Warszawskim. Pierwsze wydanie książkowe „Ulicy Marszałkowskiej” ukazało się w 1948 roku i stało się rewelacją naukową i wzorem dla dalszych badaczy historii Warszawy.

Obecnie — po blisko 30 latach — ukazało się drugie wydanie tej rewelacyjnej książki.

Stanisław Herbst, „Ulica Marszałkowska”, KIW, cena 40 zł.

WIELKIE SPORY WSPÓŁCZESNOŚCI

Książka Znanego już polskiemu czytelnikowi historyka belgijskiego, de Launaya, autora m. in. wydanej u nas przed kilkoma laty „Tejnej dyplomacji”, to pasjonująca lektura, dla każdego, komu nieobojętne są sprawy polityki europejskiej XX wieku.

W sposób przejrzysty, językiem jak najprostszym, sięgając często po cytat, przedstawia de Launay w swej pracy interesujące i kontrowersyjne zagadnienia okresu, który w politycznej historii Europy miał znaczenie zasadnicze i przełomowe. W latach 1914—1945 dokonano się więcej niż w jakimkolwiek innym trzydziestoleciu. Wydarzenia tego okresu dyskutowane są do dziś. De Launay zwraca uwagę na problemy będące przedmiotem licznych sporów, często do tej pory całkowicie nie wyjaśnionych.

W ujęciu ich dąży do sądów i ocen wyważonych i w miarę obiektywnych. Ale sympatie jego są raczej po stronie mocarstw zachodnich, choć spraw i losów mniejszych państw europejskich nie bagatelizuje. Zdobywa się nieraz na bardzo trafne spostrzeżenia i historyczne hipotezy. Raczej jednak przemilcza, że głównym inspiratorem i organizatorem walki antyhitlerowskiej w podbitych państwach Europy były partie komunistyczne. Wiemy też dzisiaj np., że Stalin wcale nie zlekceważył amerykańskiej bomby atomowej w czasie spotkania początkowych. Należy więc tę pasjonującą książkę o wielkich sporach współczesności czytać z dystansem, co nie wpłynęło z pewnością na mniejsze niż zainteresowanie.

Jacques de Launay, „Wielkie spory współczesności”, Wyd. Literackie, cena 40 zł.

zdarzenia i zwierzenia

Parę dni temu w Szkole Podstawowej nr 188 przy ul. Traktorowej 35 odbyła się uroczystość nadania szkole imienia. Uroczystość, jakich wiele w naszym kraju, ale tym razem była to dla mnie sprawa niezwykle bliska. Otóż bałucka szkoła nosić będzie imię profesora Witolda Doroszewskiego. W powodzi nazw i patronów — na pewno wielkich, ale dość banalnych i sztampowych, ta właśnie wyróżnia się w sposób wiele sympatyczny.

Prof. Witold Doroszewski jest postacią, której wielkość dla polszczyzny nie może być przeceniona. Kiedy żył — przypomniał nam ciągle na falach eteru i w dziesiątkach swoich pism o potrzebie szacunku dla języka polskiego i o jego pięknie, którego na co dzień, być może, nie dostrzegamy.

O literaturze dla dzieci właśnie pisał przed kilkunastu laty: „Poziom utworów należących do literatury dziecięcej dziś jest wyższy niż był dawniej — i rośnie dziś u nas liczba autorów rozumiejących myśl zawartą w słowach wypowiedzianych kiedys o literaturze dla dzieci przez Gorkie-

SZKOŁA IMIENIA DOROSZEWSKIEGO

go: dla dzieci trzeba pisać tak samo jak dla dorosłych, tylko lepiej. W dziełach właśnie, odbiorców spostrzegawczych, wrażliwych, chłonnych, szczególnie na owocność usiłowań pierwszych załączki zainteresowań językowych i przywiązania do języka”.

Pedagogy Szkoły Podstawowej nr 188 w Łodzi realizują owe postulaty i marzenia Profesora, rozumieją, że właśnie ten Patron atencji dla polszczyzny. I właśnie im należy jest nasz hołd — Jadwidze Urbanak, Leszkowi Wilmańskiemu, Aleksandrze Galuś, Marli Sujce, Zofii Sierakowskiej, Izabelli Szymczak... Oni wnoszą w serca i umysły młodego pokolenia umiłowanie największej wartości Polaków — języka polskiego.

Pisze profesor Doroszewski: „Język ojczysty jest żywiołem, którym tak żyje i odrycha nasza świadomość, jak nasz organizm powietrzem. Żywioł języka otacza nas zewsząd, jest naszą atmosferą duchową, z której nie możemy się nigdy całkowicie wydobyc, bo wyściele poza światła słowa, opuszczenie tego świata, to byłby szok w jakąś ciemność, pustkę...”.

To właśnie, aby uchronić przed ową pustką emocjonalną i intelektualną młode pokolenia Polaków — pracują z czułością i sercem nauczyciele bałuckiej szkoły z ul. Traktorowej.

Prof. Doroszewski — twórca jedenastotomowego „Słownika Języka Polskiego” — największej naukowej realizacji dotychczas polszczyzny — zajmował się zawsze z pasją działalnością popularyzatorską. Zarówno w Radiowym Poradniku Językowym jak i na łamach kierowanego przez siebie czasopisma „Poradnik Językowy”, którego był redaktorem od roku 1932.

Urodzony w końcu ubiegłego wieku studia rozpoczął w Moskwie, potem kontynuował je w Ecole Nationale des Langues Orientales Vivantes w Paryżu. W roku 1929 objął Katedrę Języka Polskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Warto przypomnieć, że prof. dr Witold Doroszewski był profesorem honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego, który to tytuł — w uznaniu zasług dla języka polskiego — nadano mu w roku 1960.

Głównym przedmiotem badań prof. Doroszewskiego był zawsze język polski, jego słowotwórstwo, fonetyka, historia

i dialekty... Był autorem ponad czterystu pozycji naukowych z tych dziedzin. Zapoczątkował nowe kierunki badań — do słowotwórstwa wprowadził podstawowe dla tej dziedziny pojęcie strukturalnej funkcji formatów, co może brzmieć niezrozumiale, ale dla polszczyzny ma ogromne znaczenie.

I jeszcze raz zacytujmy słowa z książki prof. Witolda Doroszewskiego pt. „Wśród słów, wrażeń i myśli — refleksje o języku polskim”: „Piękno jest w poznawaniu i w tym, co się poznaje: poznajemy nasz język oczysty rozszerzając skalę wszystkich naszych doznań, toteż poznawanie języka oczystego to jest ten cel, ku któremu, gdy będziemy szli, wszystko inne „będzie nam przydatne” (...) Piękno języka działa na nas przede wszystkim jako wrażenie — to wie, to zna, z własnego przeżycia, każdy z nas — ale poza bezpośrednio działającym na nas pięknem mowy jest jeszcze piękno głębsze, abstrakcyjne, piękno jej budowy, jej historii, dalekich horyzontów, urzekających samą swoją perspektywą”.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA



Mama.
Tata.
Mirek.
No i ja, Dorota.
Można dostać kota?!

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

MOŻE SIĘ UDA?

lewym okiem

Pięćdziesiąt lat temu przy ulicy Senatorskiej w Warszawie otwarto lokal, jakiego stolica jeszcze nie widziała: „Bar-Automat”. Z całego miasta schodzili się ludziska nie chcąc nam być posłusznymi. Czytamy o gruntownym przewrocie w zarządzaniu wielkimi zakładami przemysłowymi, spowodowanym przez komputery. Światową sieć lotnisk i hoteli obsługuje jeden centralny elektronowy mózg i podobno robi to świetnie. Komputery sterują ruchem w podziemnych kolejach największych metropolii świata, i o wypadkach nie słyszą.

U nas próbuje się od kilku lat rozliczać na komputerach należności za zużycie prądu i gazu oraz za czynsze mieszkaniowe. Wnioski z tych kosztów wnych prób nie są zbyt budujące. Można się tysiącami skarg i biletów kolejkowych. Sprzedają w założeniu. W praktyce prawie wszystkie te automaty są nieczynne, albo czynne w połowie: nie wydają towaru, ale przyjmują pieniądze.

Co do wag osobowych znaleziono świetne rozwiązanie obok automatu siedzi starszy okutany w kożuch i pobiera automatycznie pieniądze, po czym automatycznie wypisuje wynik ważenia na przygotowanej karteczce. Jest i nowoczesność i praktyczne działanie.

W automatycznej windzie w pewnym biurze jeździ starsza żona, zajmuje połowę przestroni. Za to prawidłowo naciska guziki, nie przerywając robienia swetra na drutach.

Automaty wyłączające światła na klatkach schodowych działają przeważnie tylko na czas przyciskania palcem kontaktu. Zwolnisz przycisk — gaśnie światło. Oczywiście — nie można wchodzić po schodach, nie odrywając palca od kontaktu, ale nie wymagajmy za dużo. Niektóre żarówki nie

Władzi na podobną pomyłkę komputera nie będzie — chyba zwraca uwagę na niekorzystne dla nas obliczenia — płacimy w ciemno, a nasz się uda choćby marnych sto tysięcy, zanim ktoś zdąży usprawnić system komputerowy i zbliżyć go do poziomu światowego...

ĆWIEK

propozycje

Jeden z moich przyjaciół gro-madzi sobie wszelkie absurd, jakie rodzi życie. Inny przyjaciel opowiadał mu zdarzenie z własnego życia. Oto w jego mieszkaniu trzeba wymienić parkiet. Jest to zadanie dla Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej. Ale to przedsiębiorstwo nie ma ludzi, którzy mogliby tę pracę wykonać. Zaproponowało więc, aby zainteresowany zwrócił się do sąsiedniego przedsiębiorstwa, które ma fachowców zwanych parkieciarzami i może wykonać niezbędną usługę. Bo to musi być usługa. Dlatego nie może po prostu przyjść z pomocą sąsiedniemu PGM. Musi więc mój przyjaciel wpłacić zadatek, później całą, wcale niemałą sumę i następnie z rachunkiem udać się do właściwego PGM, które mu tę całą należność zwróci. Owca będzie cała i wilk syty.

Otóż nie. Jest to bowiem czysta fikcja. A poza tym fałszowanie statystyki. W wyniku tej operacji oba przedsiębiorstwa zanotują w statystyce, że wykonały „usługę dla ludności”. A faktycznie wykonała ją tylko jedno przedsiębiorstwo. I byłoby to zabawne zdarzenie, absurd, jaki rodzi życie, absurd, godny notatnika mojego przyjaciela, gdyby nie to, że

OLSKI I SPÓŁKA

tego typu fikcyjnych i fałszywych operacji jest więcej.

W redakcji „Życia Pabianic” długo zastanawiano się nad tym, kto to był Olski. W Pabianicach pojawiły się bowiem tajemnicze plakaty informujące, że właśnie należy obchodzić „MIESIĄC OLSKIEGO”. Kim był Olski, że zasłużył sobie na cały miesiąc? W czasach, kiedy używa się i nadużywa się skrótów może być to nazwa jakiejś grupy, albo coś w tym rodzaju. W redakcji „Życia Pabianic” wybuchł więc popłoch. Na miesiąc plakaty zrywają, aby obchodzić „MIESIĄC OLSKIEGO”, a oni są w tyle. Nie nie obchodzi i mało tego, nie wiedzą, co to jest lub kto to jest OLSKI? Sam bym zresztą nie wiedział.

Ale nim rozwiążę zagadkę, kilka słów o nadużyciu skrótów. Oto w tym samym numerze „Życia Pabianic”, z którego dowiedziałem się o Olskim, znalazłem jeszcze informację, że „DZIEKUJĄ CZŁONKOWIE ZIWIW”, że nastąpił „KOLEJNY DAR NA CZD” oraz że „ANETKA Z Id” ma zamartwienie. „Express Ilustrowany” natomiast poinformował mnie, że był „DZIEŃ ZN”. Po lekturze okazało się, członkowie ZIWIW — to członkowie Związku Inwalidów Wojskowych i Wojskowych, CZD — to Centrum Zdrowia Dziecka, a Anetka z Id — to po pro-

stu Anetka z pierwszej „d”. Natomiast nadal nie wiem, co to jest PZSO, o którym przy okazji pisze „Życie Pabianic” i byłbym wdzięczny za wyjaśnienie. „DZIEŃ ZN” — jak się okazało, był dniem Organizacji Narodów Zjednoczonych. A kim jest Olski?

Olskiego w ogóle nie ma. Po dłuższej analizie, wywiadach i tym podobnych kolech z „Życia Pabianic” doszli do wniosku, że chodziło o „MIESIĄC FILMU POLSKIEGO”, tylko w plakatach, jakie rozwieszono w Pabianicach nie drukowano przy słowie „POLSKIEGO” literki „P” oraz opuszczono słowo „FILMU”. Drobiaz, ale ktoś ten drobiaz rozwieszał w mieście, ktoś te plakaty zatwierdził do rozwieszania, ktoś je kontrolował. Czyżby wszyscy ci, którzy mieli do czynienia z wybrakowanymi plakatami byli analfabetami? Ale ja w to nie wierzę!

Tak zresztą jak nie wierzę w to, aby istniała społeczna potrzeba, żeby mnie i innych ludzi zawiadywać o tym, że „FORD TAUNUS 1600 L już do nabycia w PRZEDSIĘBIORSTWIE EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO „PEWEX””. Nie interesuje mnie oraz wielu innych, że „Wpłaty na wyżej wymieniony samochód w WALUCIE WYMIENIALNEJ LUB W BONACH TOWAROWYCH BANKU PKO SA przyjmują...”

Widok

Widok

DLA KOGO PUCHAR?

było kilka dni wcześniej w Szczecinie, gdzie w meczu Legii z tamtejszą Pogonią, Legia również przegrała 0:2. Ale w lidze wszyscy się znają, wiedzą, kogo i na co stać, jak z kim grać, jeśli tylko grać się chce, jeśli to się kalkuluje. I Legia nie przegrała. Dała sobie radę. W Lublinie było inaczej. W Lublinie rady nie dała. Przegrała.

Już dawniej zwrócono uwagę, że drużyny drugoligowe, choć specjalnie o poziomie drugiej ligi nie wyrażają się najlepiej, potrafią sobie radzić z drużynami pierwszoligowymi, a to przez to, że mobilizują wszystkie swoje siły na ten jeden czy dwa mecze, że wielką rolę odgrywa ambicja, że pozycja utytułowanego przeciwnika nie doprymuje, nie lekka, a skłania do desperacji, co tego przeciwnika tak zaskakuje, że... łatwo przegrana. Tak więc, jeśli przegrane drużyny pierwszoligowych z drużynami drugoligowymi — a w historii pucharowej zdarzało się, że wygrywały drużyny niższej klasy i nawet docierały niemal do finału — może wydawać się sensacją, to w istocie nie jest to taka znów sensacja, a tylko „normalka”. Jest to swego rodzaju prawidłowość, mająca swoje źródło w słabości pierwszej ligi.

Ale jest i inna przyczyna. Nie-

stety, potwierdza ona tylko ową nie najlepszą prawidłowość, potwierdza słabość pierwszej ligi. Ta przyczyna — jest kalkulacja. Otóż nie wszystkim pierwszoligowym zespołom kalkuluje się grać w Pucharze Polski, bo akurat zajmują dobrą pozycję w lidze i uplasowanie się na czele tabeli daje im większe korzyści niż pucharowe zaszczyty. Zostawia się więc walkę o Puchar Polski słabszym, pasując nawet przed zespołami drugoligowymi. Panuje więc zasada, która zezwala biec się o Puchar Polski słabszym, gdyż silniejsi biją się o tytuł mistrza Polski. To się przede wszystkim liczy.

Proszę zwrócić uwagę, ile w ligowej tabeli wazy przypadkowo. Te czasy, kiedy Górnik Zabrze był przez kilka lat pod rząd mistrzem Polski, kiedy wy-soka była pozycja Legii Warszawa, czy Ruchu Chorzów, które po ciężkich walkach oddawały mistrzowski tytuły, te czasy mamy już za sobą. Teraz zdarza się tak, że beniaminek zostaje wicemistrzem Polski, aby w rok później spaść do drugiej ligi. Dobrym przykładem tu mogą być też zespoły ŁKS czy Ruchu, które kiedy tylko dostały się w ręce dobrego fachowca zaraz z końcem tabeli powędrowały na jej czoło. Pokazuje to tylko wiel-

kość możliwości, jakie nieustannie drzemą w ligowych zespołach. Mało jest jednak takich, którzy potrafią je obudzić, a jeśli nawet im się to uda, to budzi to niezadowolenie samych obudzonych. Stan niemal paranoi-dalny, ale rzeczywisty.

Rozbudzić się nasze ambicje, kiedy nasi reprezentanci sięgali po światowe trofea. Okazało się jednak, że był to jednorazowy zryw. Udało się akurat Kazimierzowi Górkowskiemu obudzić lwy drzemące w naszych piłkarzach. Później usnęły snem spokojnym i śpią sobie smacznie nadal. A nam się ciągle wydaje, że gra jeszcze echo monachijskich mistrzostw świata, a to tylko wiatr świszczący w kominie. Nasza liga, która w końcu wyznacza poziom piłkarstwa, pałęta się gdzieś w dolnych rejonach europejskiego piłkarstwa. I co roku przychodzi nam ze wstydem patrzeć, jak nasi przegrywają z wcale nie tytanami europejskiego piłkarstwa.

Była kiedyś taka zasada, że reprezentować Polskę w pucharowych rozgrywkach mógł tylko ten zespół, który w następnym roku uplasował się przynajmniej na trzeciej pozycji ligowej tabeli, czyli ten, który potwierdził swój poziom. Szkoda, że nie można wrócić do tej zasady. Może to być coś pomogło? Przynajmniej do czasu nim się zreformuje piłkarstwo i oprze się na zdrowych podstawach. Ale kiedy to będzie?

BOGDA MADEJ

sport

O tym, że mamy kiepską ligę piłkarską wiedzą już nawet dzieci, tylko działacze PZPN oraz klubowcy udają, że dla nich jest to tajemnica. Za każdym razem, kiedy dochodzi do konfrontacji naszych zespołów ligowych z zagranicznymi, modlą się wszyscy, aby los dał nam słabszych przeciwników, bo na silniejszych wyłożą się nasi piłkarze natychmiast i nie będzie żadnej zabawy. Los — jak do tej pory — jest dla nas życzliwy. Jakoś przez dwa, trzy kolejki pucharowe udaje się nam poemocjonować... O słabości naszej ligi świadczy też poziom Pucharu Polski. Już nie pierwszy raz zdarzyło się, że najlepsze zespoły ligowe zostały wyeliminowane przez drużyny drugoligowe. A było przecież i tak, że Puchar Polski pojechał do Rzeszowa, do tamtejszej Stali, która od drugiego czasu przebywa w drugiej lidze. W tym roku w rozgrywkach pucharowych zostało pół na pół: cztery drużyny z pierwszej ligi i cztery drużyny z drugiej.

Obserwatorzy twierdzą, że największą sensacją jest przegrana warszawskiej Legii z lubińskim Zagłębiem. Już w 20 minucie Zagłębie prowadziło 2:0. Podobnie